

PAPILRÓKla.

V



Kilka słów na dobry początek

Z wielką radością oddajemy jedyny w swoim rodzaju numer Papierówki do Waszych rąk. Otrzymaliśmy tym razem naprawdę dużo tekstów, zdjęć i grafik. A obok autorów polskich znaleźli się w nim także autorzy zagraniczni. Zaprosiliśmy do współpracy literatów z Meksyku. Przez ostatnie miesiące korespondowaliśmy z przyjaciółmi zza oceanu, zbieraliśmy teksty, tłumaczyliśmy. Ale skąd w ogóle taki pomysł? Otóż początków należy doszukiwać się w pewnej podróży, którą razem z Bożeną Chrostowską odbyłem pod koniec 2016 roku.

Pewnego dnia dotarliśmy do karaibskiego miasta Chetumal, do miejsca, gdzie jak głośno napis zaczyna się Meksyk. Nie spotkaliśmy tutaj zbyt wielu innych turystów. Było za to głośno, kolorowo, pachniało spalinami i dobrym jedzeniem. Pierwszego wieczoru poszliśmy na spacer. Na głównym deptaku koło pomnika rybaka grał na gitarze elektrycznej i śpiewał piosenki do mikrofonu uliczny artysta.

– Szanowni państwo – zapraszam do zamawiania piosenek. Wy kupujecie różę za 50 pesos, a ja śpiewam dwie piosenki z dedykacją dla was. A tak w ogóle dzisiaj są moje urodziny.

Podeszliśmy do niego. Bożenka kupiła jedną różę i zaraz wręczyła ją artyście wyjaśniając, że w Polsce jest zwyczaj dawania kwiatów na urodziny. Śpiewak miał na imię Hugo, wzruszył się. Powiedziała też, że i ja gram na gitarze. Nie miałem wyjścia. Na głównym deptaku Chetumalu zagrałem piosenkę zespołu Dżem. Dostałem brawa i poproszono mnie o bis. Zaprzyjaźniliśmy się z nowym kolegą chyba w przeciągu jednej godziny. Mieliśmy wspólne zainteresowania. Hugo zaprosił nas do miejsca zwanego Cafeteria Huracan, gdzie spotykali się miejscowi literaci, muzycy, filozofowie. Trafiliśmy na wieczór autorski pisarzy związanych z zinem Gazapo. Tak poznaliśmy Saula (autor opowiadania „Jak ćma”), którego poprosiłem wtedy o autograf na zakupionym egzemplarzu. Potem wdaliśmy się w rozmowę z innym pisarzem. Okazało się, że los dawnych mieszkańców Meksyku oraz Warmii i Mazur jest zadziwiająco podobny, bo tak samo tragiczny. Rozmawialiśmy o konkwiście, zagładzie Prusów, o pierwszych Białych na karaibskich ziemiach, ale także o miłości, przyjaźni i oczywiście o literaturze. Naszym rozmówcą był Luis Antonio (autor wierszy „Pocałunek...”, „Zaufanie, „Kocham cię...”), który słuchając o chrystianizacji polskich ziem, podsumował naszą rozmowę, że chociaż te historie są tak podobne, to paradoksalnie, Meksykanie, wiedzą więcej o swoich przodkach. „U was też była konkwiści, tylko nie zdajecie sobie z tego sprawy, bo ona zniszczyła wam wszystko i już nic nie wiecie, co było wcześniej”. Ta rozmowa zmieniła nasze postrzeganie historii. W tym niezwykłym miejscu poznaliśmy też chłopaków z metalowej kapeli ConspiracionZero. Rozmawialiśmy o muzyce (chłopaki znają dokonania olsztyńskiego Vadera!). Wszystkie te znajomości przetrwały. I kiedy dwa lata później Bożenka rzuciła hasło:

– Hej! Zróbmy Papierówkę z meksykańskim towarzystwem! – cała redakcja była na tak! I tak zostałem tłumaczem literatury. Pracując nad przekładem, zdecydowałem jednak nie tłumaczyć wszystkiego i zostawić niektóre wyrazy w ich oryginalnym brzmieniu, najwięcej w opowiadaniu Viviany Caamal „Sen ze stacji metra Copilco”.

Tytułowa stacja znajduje się w mieście Meksyk. W opowiadaniu tym Autorka często odnosi się do symboli prekolumbijskich i meksykańskich. Postaram się przybliżyć kilka z nich.

EL AXOLOTL (z języka nahuatl) – występuje na początku opowiadania, pisany z wielkiej litery. Mamy wówczas do czynienia z Bogiem, przewodnikiem po podziemnym świecie bratem Quetzalcoatl, Pierzastego Węża. *Quetzalcoatl* to jeden z najważniejszych Bogów całej Mezoameryki, współtwórca świata. Pod koniec opowiadania tłumacząc: aksolotl zapisując słowo z małej litery. W tym wypadku mamy do czynienia z wodnym płazem, salamandrą meksykańską.

MICPAPALOTL – dokładnie tłumacząc z języka nahuatl – Motyl śmierć (*Ascalpha Odorata*). To nocny motyl, którego nazwa sięga czasów prehispańskich. W wierzeniach mezoamerykańskich związany był ze śmiercią i złym omenem.

LLORONA – (z języka hiszpańskiego) – po polsku znaczy „zapłakana”. Llorona („ll” wymawiamy jak polskie „l”) była Indianką ze szlacheckiej rodziny. Żyła w XVII wieku. Miała dwoje dzieci z Hiszpanem, który porzucił ją żeniąc się z kobietą mu przeznaczoną. Jego zroczona kochanka udusiła swoje dzieci, a sama popełniła samobójstwo. Jej widmo do tej pory błąka się po ulicach miasta Meksyk. Jest ona jednym z symboli Meksyku.

CEMPOALXÓCHITL – meksykańska aksamitka, w Meksyku nazywana kwiatem zmarłych. W czasie Dnia Zmarłych ozdabia się tymi kwiatami groby najbliższych oraz ołtarze, które budowane są w parkach, na ulicach i skwerach.

W opowiadaniu Autorka inspirowana jest muralami Canicerosa i Rivery. Polecamy przed lekturą, albo w trakcie obejrzenia w Internecie z czego czerpała swoją wizję. Proszę wpisać w wyszukiwarkę „El metro copilco murales”, oraz „Sen niedzielnego popołudnia w parku Alameda Central”.

Z kolei w wierszu „Czerwcowe popołudnie” Octavio Jimenez pojawia się zagadkowe „Piąte Słońce”. Otóż w wierzeniach prekolumbijskich świat podzielony został na okresy, a każdy z nich to jedno słońce. Czas Piątego Słońca trwał 5125 lat i zakończył się parę lat temu. Według wierzeń takim zmianom towarzyszą kataklizmy: potop, huragany, trzęsienia ziemi. Możliwa jest zagłada ludzkości. Czytając poezję Octavio Jimenez pamiętajmy o tych wierzeniach.

W stopce redakcyjnej występuję jako tłumacz tekstów z języka hiszpańskiego. Zaproponowałem, aby jako tłumaczka wystąpiła także Bożena Chrostowska, ale nie zgodziła się. Jednak to ona spędziła ze mną wiele godzin nad tekstami, pytając, podpowiadając synonimy, nie zgadzając się czasem na wyrażenia, których użyłem. To dzięki niej teksty nabrały lekkości.

Mamy nadzieję, że ten numer Papierówki przypadnie Wam do gustu. Jesteśmy z niego ogromnie dumni i szczęśliwi, że zrobiliśmy go tak jak chcieliśmy. Zin w dwóch językach.

Un fanzine en dos idiomas!

Muchas Gracias por los Amigos de Mexico!

Milej lektury.



Luis Antonio
González Silva

Te quiero, te extraño

Recito tu nombre,
suave, a ritmo de suspiro,
plegaria que acaricia
estos labios que son tuyos;
te tengo dentro de mi corazón,
en cada vena, en mi sangre;
no sé cómo has filtrado tu nombre
hasta sentirlo debajo de mi piel
(¡qué bueno!);
se me agolpan las palabras,
se me olvidan las ideas,
intento siempre plasmar
en trazos y letras
una imagen fiel
de lo mucho que te extraño
porque te extraño realmente,



rys. Luis Antonio González Silva

Kocham cię, tęsknię za tobą

Recytuję twoje imię,
międko, w rytmie westchnienia,
modlitwa jak pieszczota
tymi ustami, które są twoje;
noszę cię w samym środku serca,
w każdej mojej żyły, we krwi;
nie wiem jak przeniknęłaś swoim imieniem
dopóki nie poczułem tego pod moją skórą
(jak dobrze!);
Wypełniają mnie słowa,
idee zapominają o mnie,
zawsze staram się uchwycić
w liniach i literach
wierny obraz
tego jak bardzo tęsknię za tobą
bo naprawdę tęsknię,



te extraño tanto
que uso tu nombre como plegaria
para encender
mis lunas y mis estrellas;
te siento en cada palabra
que intento sacar
desde dentro de mis costillas,
porque hasta eso,
cada hueso mío es tuyo,
te pertenecen
con la condición única
de que lleves todo de mí,
mi carne, mi sangre, mis ojos,
mi voz, mis labios, mis manos, yo;
te extraño y te pienso,
dejo de extrañarte
para sentirte conmigo,
vuelvo a extrañarte
dibujando sonrisas en este rostro...
te extraño tanto como te quiero
y te quiero tanto como te extraño;
cada día es una oportunidad
para ensamblar mis plumas
y volver a tus brazos,
regresar al oasis de tus manos,
beberte y, comer juntos
una, dos, varias, miles de granadas
como ofrenda de este corazón
que te nombra en noches y en mañanas,
te nombra tanto como yo lo hago
porque te quiero,
te quiero sin posesión,
te quiero libre,
a gritos,
en nuestros secretos,
en todo el día, cada minuto,
lejos, ahí cerquita, de regreso,
con tus sueños, con los míos,
sonriendo, en días tristes,
en todo momento
tanto,
que a veces olvido que eres real,
despertándome
para llevarme contigo al sueño
de este viaje que tantas veces soñé,
y soñé con tu nombre, el cual,
ahora llevo como plegaria,
como anillo en mi mano,
observarte sin estar aquí,
en todos lados,
porque te quiero,
te quiero tanto como te extraño
te extraño tanto como te quiero.

tęsknię za tobą tak bardzo
 że używam twojego imienia jak modlitwy
 aby zapłonać
 moimi księżycami i moimi gwiazdami;
 czuję cię w każdym słowie
 które próbuję wyjąć
 z wnętrza moich żeber,
 ponieważ nawet to,
 każda moja kość jest twoją,
 do ciebie należą
 pod jednym warunkiem
 że weźmiesz ode mnie wszystko,
 moje ciało, moją krew, moje oczy,
 mój głos, moje usta, ręce, mnie;
 tęsknię za tobą i myślę o tobie,
 przestaję tęsknić,
 aby poczuć ciebie ze mną,
 ponownie tęsknię za tobą
 rysując uśmiechy w tej twarzy...
 tęsknię za tobą tak bardzo jak kocham cię
 i kocham cię tak bardzo jak tęsknię za tobą;
 każdy dzień jest szansą
 aby złożyć moje skrzydła
 i wrócić w twe ramiona,
 powrócić do oazy twoich dłoni,
 pić ciebie i jeść razem
 jeden, dwa, kilka, tysiące owoców
 jako dar tego serca
 które wzywa ciebie nocami i porankami
 wzywa cię tak samo jak ja cię wołam
 ponieważ kocham cię,
 kocham cię bez posiadania,
 kocham cię wolną,
 w krzykach,
 w naszych sekretach,
 przez cały dzień, w każdej minucie,
 daleko, tu bliźutko, z powrotem,
 z twoimi marzeniami, i z moimi,
 uśmiechnięty, w smutne dni,
 przez cały czas,
 tak bardzo,
 że niekiedy zapominam, że jesteś realna,
 budząc mnie
 zabierasz ze sobą w sen
 w podróż, o której marzyłem tak wiele razy,
 i śniłem o twoim imieniu, które
 teraz noszę jak modlitwę,
 jak pierścionek na moim palcu,
 obserwuję cię nie będąc tutaj,
 będąc w każdym miejscu,
 ponieważ kocham cię,
 kocham cię tak bardzo jak tęsknię za tobą,
 tęsknię za tobą tak bardzo jak kocham cię.

Beso...

Demoré algunos años
antes de saberme en tus ojos
donde me encontré
de mil maneras y de mil sueños
hasta que tomaste mi mano
infinitamente (todas las veces)
acercándonos en un suave
trémolo que la gente llama beso.

Pocałunek...

Zwlekałem kilka lat
nim rozpoznałem się w twoich oczach
tam odnalazłem siebie
na tysiąc sposobów i tysiąc marzeń
gdy wzięłaś moją rękę
nieskończenie (za każdym razem)
zbliżając nas mięciutko
tremolo które człowiek nazywa poca-
łunkiem.

Confianza

Abrázame,
no dejes que las dudas
y los temores
toquen mi piel;
abrázame,
ayúdame,
confío en ti mi fragilidad.

Zaufanie

Przytul mnie,
nie pozwól aby wątpliwości
i obawy
dotykały mojej skóry;
przytul mnie,
pomóż mi,
ufam tobie moją kruchością.



Osmar S.

Villaruel Gómez

MADRE SOLO HAY UNA!!!!

Recuerdo aquel día de mi cumpleaños
que me hiciste chilaquiles,
quien iba a pensar que después de 3 años
iba a cocinar comida sin chile,
Recuerdo también la tina con hielos
llena de chelas bien frías
todos terminamos ebrios
sin importar la lluvia de esos días.

De un momento a otro, la tina se vació,
deseaba que al menos quedara una por favor!
mi madre con sus ojos, al refri señaló,
me dijo sonriendo: te guardé dos en el congelador!
al abrir la puerta yo le contesté con amargura,
de las dos que pensé que había,
Madre... ¡SOLO HAY UNA!

MATKA JEST TYLKO JEDNA!!!

Pamiętam ten dzień moich urodzin
kiedy przygotowałaś dla mnie chilaquiles,
i kto by pomyślał, że po trzech latach
będę przyrządzać jedzenie bez chili.
Pamiętam również wannę z kostkami lodu
pełną dobrze schłodzonych chelasów
wszyscy skończyliśmy pijani
nieważny był deszcz w tamtych dniach.

Godzina za godziną, wanna opróżniała się
życzyłbym sobie, żeby została chociaż jedna
butelka, proszę!
moja matka wzrokiem wskazała na lodówkę
uśmiechając się powiedziała mi: schowałam dla
ciebie w zamrażarce dwie!
otworzyłem drzwiczki i z goryczą stwierdziłem,
z tych dwóch o których myślałem, że są,
Matka...JEST TYLKO JEDNA!



POLILLA

La cascada de humo asciende acariciando sus labios, su nariz, sus pómulos, hasta formar un velo a la altura de sus ojos. Exhala lento, mirando espirales danzar hasta perderse. Preciosa como siempre. Solo puedo abrir un ojo, pero con eso me basta para darme cuenta. Entonces digo su nombre casi como un susurro, como siempre lo he repetido para mí: Leticia... dejando que mi lengua sea una ola rompiendo contra la roca para después arrastrarse de nuevo hacia el mar. Así me arrastraría ahora hacia sus pies si estos dos simios no estuviesen sosteniendo lo que queda de mí, con mi pantalón empapado de sangre.

Leticia... Leticia... Leticia. Los dos hombres me llevan hacia la luz donde está ella, lo única luz en medio de la oscura bodega. Alguien hala una silla y me dejan caer ahí. Ella está del otro lado de la mesa. Cuando me ve aprieta los labios y lanza una aguja de humo hacia donde estoy. Ahora es ella quien dice mi nombre como en nuestras mejores noches: ¡Mario! Después voltea la cara y se tapa la boca con la mano, cierra los ojos, llora. Le digo que estoy bien, pero la sangre que escupo al balbucear solo empeora las cosas. Trato de sonreír, no sé si lo logro con la cara toda hinchada, pero me esfuerzo en ello.

Otra voz irrumpe exigiendo silencio. La voz de su esposo, El Bueno, como se le conoce.

Ella se muerde la mano y logra transmutar el llanto en un simple sollozo. Sigo pensando en repetir su nombre, pero eso sólo la haría llorar de nuevo. Sonríe, no hay nada más que pueda hacer.

El Bueno dice cosas que no entiendo porque la cabeza me palpita y me da vueltas. En lugar de escucharlo pienso en que Leticia se ve igual de hermosa que el día en que la conocí en aquella fiesta con su blusa de escote en la espalda y sus jeans ajustados. Recuerdo haber visto los tatuajes en su brazo desde lejos. Una gama de colores exótica que me llamaba a mirar más de cerca.

Nunca esperé que me hiciera caso, pero las cosas a veces ocurren sin tener mucho sentido y a quien le importa el maldito sentido de las cosas cuando aprendes a apreciar el momento en el que levanta su labio superior un poco para sonreír o la manera en la que ladea su cabeza cuando me mira.

Para cuando me di cuenta ya estábamos fumando un toque a solas. El mejor toque de mi vida.

Como no iba a serlo si su marido es el sujeto que mueve la mierda más fina de toda la ciudad. Todo porro, toda línea, toda pastilla diluyéndose en un trago llega a las calles gracias a él. Gracias a El Bueno.

No fue sino hasta la segunda vez que nos vimos que me dijo quién era él y cuáles eran los riesgos. Acepté todo mientras la miraba perderse entre las sábanas del hotel, con su piel de lienzo llena de arte y sus labios rojos como la sangre que ahora me cubre, mientras besaba cada poro de su piel humedecida por el sudor.

Estaba hipnotizado, ciego como una polilla kamikaze volando directo hacia la trampa eléctrica, en medio de la noche.

Para ese entonces yo era nuevo en la ciudad y me ganaba la vida vendiendo un poco de clonazepam o diazepam que Roberto, mi primo, se robaba de la farmacia en donde trabaja, así que no conocía nada sobre El Bueno. Pero mi primo, sí, porque fue uno de sus dealers durante un tiempo. Me dijo que al menos dos de cada tres muertos provienen de los ajustes de cuentas de sus hombres. Mis preguntas no eran sólo las de un curioso, así que tuve que contarle a mi primo sobre Leticia. Fue el único que lo supo durante mucho tiempo.

En cuestión de semanas ya lo sabía todo: de quienes debía cuidarme y lugares en donde no debía aparecerme, por si acaso. Para andar por ahí pegado a las paredes sin que nadie pudiese verme.

Mientras tanto seguía viendo a Leticia en secreto y hablando con ella por el whats durante todo el día. Leyendo sobre lo que me contaba, compartiendo opiniones de distintas cosas e intercambiando links de canciones de rap (porque ella tenía algo con el rap y aunque yo era más del punk también conocía algo de eso) que luego utilizábamos para hacer playlists que reproducíamos en nuestros encuentros.

Así pasamos de vernos ocasionalmente a acostarnos toda la semana, en donde fuera que hubiese unos minutos para estar a solas. Parques, pasillos de supermercado, camiones con rumbos inciertos. Pero nuestra estrategia de camuflaje no duró para siempre, pronto todas nuestras precauciones se fueron a la mierda y los hombres de su marido comenzaron a sospechar, a seguirnos sin que nosotros nos diéramos cuenta. La rutina nos tendió una trampa.

Ella comenzó a ponerse cada vez más nerviosa, me decía que estaba preocupada, que sentía que tarde o temprano iban a descubrirnos, que sería mejor no vernos pero yo hice caso omiso de sus labios rojos de oráculo, de sacerdotisa mirando el futuro. Boca de bruja. Por el contrario le propuse que escapáramos y ella solo soltó una carcajada para después comenzar a besarme.

Esa fue la última vez que estuvimos solos: un viernes cualquiera en un motel cualquiera en el que por primera vez no recurrimos a las posiciones más complejas ni a las pruebas de resistencia física sino a un sexo lento pero esmerado, de lengüetazos estratégicos y ritmos cadenciosos, sincopados. Fue ahí, mirándonos a los ojos y apretando los dientes que me dije a mí mismo que podría pagar el precio más alto, sea cual fuere, a cambio de esto.

Me detuve para venirme sobre su vientre. Entre jadeos ella dejó caer correr las lágrimas y me preguntó si alguna vez podría perdonarla. En ese momento un sujeto entró con un bate y comenzó a molerme a golpes. No tardé en perder el conocimiento.

Heme aquí ahora.

Leticia... Leticia... Leticia.

¿Quién lo diría? Hasta los malditos fármacos son controlados por El Bueno en esta ciudad. Ojalá Roberto coma mierda por el resto de sus asquerosos días.

Ella llora más cuando El Bueno comienza a darle puñetazos a la mesa. Luego la abofetea e intento levantarme pero luchar contra la pesada mano que me sujeta es imposible. Cuando deja de golpearla da la orden y los dos simios me levantan y me bajan el pantalón para mostrarle que me han cortado la verga y los huevos. Alguien tira el pedazo de carne cercenada sobre la mesa, envuelto en un periódico chorreante.

Escucho otra vez su llanto. Me dejan caer en aquella silla. El bueno toma su arma plateada y la asienta frente a Leticia. Le dice que ya sabe que es lo que tiene que hacer, pero ella pide que por favor no, que de eso no habían hablado. Uno de los simios también empuña un arma y le apunta. Su marido dice que no es un juego, que él no puede asesinarla, pero cualquiera de sus hombres sí.

Levanta el arma con las dos manos temblorosas. Mira lo que queda de mí y yo la miro a ella tan preciosa como siempre y miro sus lágrimas caer de sus ojos hinchados, bajar por sus mejillas como hilitos negros por el delineador mientras su marido comienza a gritar que lo haga, que acabe conmigo antes de que lo haga enojar en verdad.

Los gritos cesan, se hace un breve espacio de silencio como los que antes usábamos para besarnos. La miro y logro reunir fuerzas para decirle que esté tranquila, que ya la he perdonado. Suspiro.

Leticia...

Leticia...

Let...

JAK ĆMA

Kaskada dymu wznosi się pieszcząc jej wargi, nos, kości policzkowe aż do momentu utworzenia zasłony na wysokości oczu. Wydechaj powoli, obserwując spirale tańczące, dopóki się nie zatracisz. Piękna jak zawsze. Mogę otworzyć tylko jedno oko, ale to wystarczy, abym zdał sobie sprawę z sytuacji. Potem wymawiam jej imię prawie szeptem, jak zawsze powtarzałem je sobie: Leticia... pozwalając aby mój język był falą rozbijającą się o skałę, a następnie czołgającą się z powrotem w morze. I tak zaczęłabym się teraz do jej stóp, gdyby te dwa goryle nie przytrzymały mnie, tego co ze mnie zostało, moje spodnie przesiąknięte są krwią.

Leticia... Leticia... Leticia. Dwaj mężczyźni prowadzą mnie do światła, gdzie jest ona, jedyna dla mnie jasność w środku ciemnej piwnicy. Ktoś przyciągnął krzesło, i sadzają mnie na nim. Ona jest po drugiej stronie stołu. Kiedy mnie zobaczyła, ścisnęła usta i wydmuchnęła dym w moją stronę. Teraz to ona wymawia moje imię jak podczas naszych najlepszych nocy: Mario! Potem odwraca twarz i zakrywa usta dłonią, zamyka oczy, płacze. Mówię jej, że nic mi nie jest, ale krew, którą pluje, kiedy tak bełkoczę, tylko pogarsza sprawę. Próbuję się uśmiechnąć, nie wiem, czy osiągnę to z opuchniętą twarzą, ale bardzo się staram.

Inny głos wtargnął nagle w tę ciszę. Głos jej męża, El Bueno, jak go nazywają.

Ona wbija zęby w rękę i udaje się jej zamienić płacz w prosty szloch. Ciągłe myślenie o powtórzeniu jej imienia, ale to tylko sprawi, że znowu będzie płakać. Uśmiecham się, nic więcej nie mogę zrobić.

El Bueno mówi rzeczy, których nie rozumiem, ponieważ pulsuje i kręci się mi się w głowie. Zamiast słuchać go, myślę o Leticii, że wygląda tak pięknie, jak tego dnia gdy poznałem ją na przyjęciu, na które przyszła w bluzce z dekoltem na plecach i obcisłych dżinsach.

Pamiętam, jak patrzyłem z daleka na tatuaż na jej ramieniu. Egzotyczne gamy kolorów, które wzywały mnie do przyjrzenia się im z bliższej odległości.

Nigdy nie spodziewałem się, że zwróci na mnie uwagę, ale czasami rzeczy te dzieją się jakby bez naszego udziału i kogo obchodzi czy ma to sens czy nie, wtedy kiedy uczysz się doceniać ten moment, tę chwilę gdy ona unosi odrobinę swoją górną wargę lub sposób w jaki uśmiecha się i przechyla głowę, kiedy na mnie patrzy.

Zanim zdałem sobie sprawę, już razem paliliśmy papierosy, dotknęliśmy się niby przypadkiem. Najlepsza pieszczota w moim życiu. Jakby to było, gdyby jej mąż nie był tym, który rozprowadza to najdelikatniejsze gówno w całym mieście? Każda strzała, każda kreska, każda tabletkowa rozcińczana w drinku, to właśnie dzięki niemu docierała na ulice.

Gracias, El Bueno.

Dopiero kiedy po raz drugi spotkaliśmy się, powiedziała mi kim on jest i przestrzegła mnie. Akceptowałem to wszystko, patrząc, jak jej posągowe ciało przeslizguje się między hotelowymi prześcieradłami, całując każdy mokry od potu skrawek jej skóry, jej czerwone wargi przypominały krew, która mnie teraz okrywała.

Zostałem zahipnotyzowany, ślepy jak ćma, kamikaze lecący prosto w elektryczną pułapkę, w środku nocy.

W tym czasie byłem nowy w mieście i zarabiałem na życie sprzedając trochę klonazepam lub diazepam, który Roberto, mój kuzyn, ukradł z apteki, gdzie pracował i nic nie wiedziałem o El Bueno. Ale mój kuzyn tak, ponieważ przez jakiś czas był jednym z jego dealerów. Powiedział mi, że co najmniej dwóch z trzech zabijanych tutaj ludzi jest wynikiem porachunków, w których biorą udział goryle El Bueno.

fot. Bożena Chrostowska

Moje pytania nie były tylko pytaniami ciekawskiej osoby, musiałem powiedzieć kuzynowi o Leticii. Był jedynym, który wiedział o nas przez cały ten czas.

W przeciągu kilku tygodni dowiedziałem się już wszystkiego: o tych, na których powinienem uważać i o miejscach, gdzie nie powinienem się pojawiać, tak na wszelki wypadek. Chodziłem przyklejony do ścian, aby nikt mnie nie zobaczył.

Tymczasem ciągle potajemnie spotykałem się z Leticią i rozmawiałem z nią przez WhatsApp'a, o tym co u niej słychać w przeciągu dnia. Czytając o tym, co mi powiedziała, dzieląc się opiniami o różnych rzeczach i wymieniając linkami do rapowych piosenek (ponieważ miała coś z tym wspólnego, a ja chociaż byłem bardziej punkowy, trochę znałem się także i na rapie), a potem robiliśmy playlisty, które odtwarzaliśmy na naszych spotkaniach.

Spotykaliśmy się od czasu do czasu, gdziekolwiek się dało, gdzie bylibyśmy kilka minut sami. W parkach, korytarzach supermarketów, autobusach najróżniejszych linii. Ale nasz kamuflaż nie mógł trwać w nieskończoność, wkrótce wszystkie nasze środki ostrożności zdały się na nic, jej mąż zaczął coś podejrzewać, a jego chłopcy podążyli za nami, tak byśmy tego nie dostrzegli. Zgubiła nas rutyna.

Ona stawała się coraz bardziej nerwowa, powiedziała mi, że martwi się, czuła, że prędzej czy później nas odkryją, i lepiej byłoby abyśmy się nie widywali, ale zignorowałem jej czerwone usta wyroczni, kapłanki patrzącej w przyszłość. Usta czarownicy.

Przeciwnie, zaproponowałem, żebyśmy uciekli, ale ona tylko roześmiała się, a potem zaczęła mnie całować.

To był ostatni raz jak byliśmy sami: w ten zwykły piątek, w zwykłym motelu, w którym po raz pierwszy nie uciekaliśmy się do najbardziej złożonych pozycji i fizycznych testów wytrzymałościowych, ale po prostu kochaliśmy się powoli i ostrożnie, w uniesieniu strategicznie zagrywając i poruszając się rytmicznie, stosując synkopy, smakując się. To tam, patrząc jej w oczy i zaciskając zęby, powiedziałem sobie, że mogę zapłacić najwyższą cenę, cokolwiek by to było.

Zatrzymałem się tuż nad jej brzuchem. Pomiędzy oddechami, rozpląkała się i zapylała mnie, czy mógłbym jej wybaczyć. W tym momencie wszedł facet z kijem i zaczął mnie bić. Zaraz straciłem przytomność.

Oto jestem teraz.

Leticia... Leticia... Leticia.

Kto by to powiedział? Nawet cholerne narkotyki są kontrolowane przez El Bueno w tym mieście. Mam nadzieję, że mój kuzyn Roberto będzie jadł gówno przez resztę swoich brudnych dni.

Ona płacze coraz mocniej, gdy El Bueno zaczyna walić w stół. Potem uderza ją, a ja próbuję wstać, ale walka z ciężką ręką, która mnie trzyma, wyczerpuje mnie tak, że staje się to niemożliwe. Kiedy on przestaje ją bić, wydaje rozkaz i dwaj jego goryle podnoszą mnie i opuszczają mi spodnie, aby pokazać, że mój kutas i jaja zostały odcięte. Ktoś rzuca kawałek krwawiącego mięsa na stół, zawiniętego w kapiącą od posoki gazetę.

Jeszcze raz słyszysz jej płacz. Rzucają mnie na to krzesło. El Bueno bierze swój srebrny karabin i ustawia go przed Leticią. Mówi jej, że już wie, co musi zrobić, ale ona prosi go, aby już o tym nie gadał. Jeden z goryli również chwycił za broń i wycelował w nią. El Bueno mówi, że to nie gra, że i tak nie mógłby jej zabić, ale każdy z jego ludzi może.

Podnieś broń obiema drżącymi rękami. Spójrz na to, co zostało ze mnie, a ja patrzę na nią tak jak zawsze, na piękną, i patrzę, jak jej lzy spadają z opuchniętych oczu, na policzkach wykwitają czarne smugi tuszu, a jej mąż zaczyna krzyczeć, aby to zrobić, aby skończyć ze mną, zanim go naprawdę wkurzę.

Krzyki ustają, nastaje krótka cisza, taka jak ta, w której kiedyś całowaliśmy się. Patrzę na Leticie, zdołałem zebrać siły, aby powiedzieć, żeby była spokojna i że już wybaczyłem jej. Wzdycham.

Leticia ...

Leticia ...

Let...

Octavio Jimenez

Penumbra de callejón

Siluetas que se ocultan
en la obscuridad del callejón.
Enredadas en el misterio de la noche,
de la luz cegadora del pecado.

En la penumbra se abrazan, se tocan,
se enganchan en mil formas...
Sus brazos, manos y bocas, buscan el placer efímero;
ocultos en la soledad de la calle cegada.

El cielo cubierto de constelaciones
de una noche gélida de invierno,
los cubre, los abraza, los cobija...
la luna brillante y eterna, los envidia.

El viento frío cruza por sus rostros y embraga sus cuerpos
inmersos en besos eternos.
Caminan, sus siluetas se funden con la obscuridad de la noche;
se alejan.

Sus almas buscan otro callejón,
más negro, obscuro, más eterno;
donde la vorágine de sus entrañas y sus almas
sigan escribiendo su parábola de lujuria noctámbula.

fot. Bożena Chrostowska

Półcienie alejki

Sylwetki które skryły się
w ciemności zaułka.
Uwikłane w tajemnicę nocy
przed oślepiającym światłem grzechu.

O zmierzchu obejmują się, dotykają się,
łączą na tysiąc sposobów...
Ich ramiona, ręce i usta szukają ulotnej przyjemności;
ukryte w samotności ślepej uliczki.

Niebo pokryte konstelacjami
pewnej mroźnej zimowej nocy,
przykrywa je, obejmuje, chroni...
jasny i wieczny księżyc, zazdrości im.

Zimny wiatr smaga ich twarze i przenika ciała
zanurzeni w wiecznych pocałunkach.
Spacerują, ich sylwetki łączą się z ciemnością nocy;
odchodzą.

Ich dusze szukają następnej uliczki,
czarniejszej, ciemniejszej, bardziej wiecznej;
gdzie wirując splecione ze sobą
piszą dalej opowieść o nocnym pożądaniu.



Tarde de Junio

Toma mis manos viento
encaminemos nuestros pasos al confin del tiempo,
donde no hay retorno
donde no hay ayer.

Sol aplastante del alma,
rayos que fulminan el pasado
deja que recuerde mi infancia
sumida en un sueño de caleidoscopio ámbar y monótono.

Vayamos viento al encuentro del árbol,
que sus hojas en junio nos conduzcan a la vida eterna.
Lévanos viento a encontrar el amor púber del mar
en donde nace la esperanza.

Déjanos morir, para encontrarnos
en la profundidad de una raíz
en una tarde de junio
abrumada por los besos del quinto sol.

Czerwcowe popołudnie

Weź moje dłonie wietrze,
wyruszymy w podróż na koniec czasu,
skąd nie ma powrotu
gdzie nie ma wczoraj.

Udręczone słońce duszy,
promienie uderzające w przeszłość
pozwól pamiętać mi moje dzieciństwo
zanurzone w śnie monotonnym i mieniącym się bursztynem

Chodźmy wietrze na spotkanie drzewa,
jego czerwcowe listowie doprowadzi nas do wiecznego życia.
Zabierz nas wietrze, by odnaleźć miłość w tonie morza,
gdzie rodzi się nadzieja.

Umrzujemy aby się odnaleźć
w źródle wspólnego pochodzenia
w to czerwcowe popołudnie
przytłoczeni pocałunkami piątego słońca.

Hermano Cuervo

Sácame los ojos hermano cuervo
para no ver su reflejo;
en la crisálida mañana,
en el brillo de la luna.

Sácame los ojos cuervo
hijo de la luna,
para no volver a mirar
nada que no sea su bello rostro.

Sácame los ojos hermano cuervo,
devóralos con ansiedad,
con la misma que un día
ella me devoró el alma.

Bracie Kruku

Wymij moje oczy bracie kuku
abym nie ujrział jej blasku;
jutrzejszej przemiany
w świetle księżycy.

Wymij moje oczy kuku
synu księżycy,
abym nie zobaczył ponownie
niczego poza jej piękną twarzą.

Wymij moje oczy bracie kuku,
pochłoń je z ich niepokojem,
z tym samym co pewnego dnia,
ona pochłonie moją duszę.

fol. Dariusz Górkiewicz



Sueño con el metro Copilco

Llego exactamente a las tres y media al metro Copilco. Hoy no me conmueve el mural de Guillermo Ceniceros. Siempre lo he observado mientras espero la llegada del tren y me siento parte. Hoy no.

En cada rincón del mural he sentido la historia mexicana. Me he trasladado a las grandes culturas mesoamericanas, en las réplicas de obras de arte contemporáneo y moderno de pintores famosos. Me he sentido su modelo. Algunos rostros derretidos entre las pinturas me son conocidos, he sentido que nuestras miradas se entrecruzan. Soy la Gioconda, soy el Bosco, soy la cúpula y sus historias antiguas. Soy navegante, astrónomo y conquistador. Soy rey. Soy todas las historias que se han querido contar.

Hoy no logro concentrarme en la obra de Ceniceros. Solo pienso en las noticias que había visto en la televisión. La conductora habló de la extinción del último azteca, el *Axolotl*, pero enseguida quedó opaco cuando anunciaron la detención y desaparición de varios jóvenes que hacían una manifestación al pie del Ángel de la Independencia. Mi piel se erizó y aprisioné esa noticia en mi mente durante todo el día.

Mis ojos se sujetan de nuevo al mural, —lo mismo, la misma pintura— pienso, mientras miro la réplica de “Sueño de una tarde dominical en la Alameda” y noto una mancha oscura que desdibujaba la pintura casi desapareciéndola parcialmente. No le di importancia para preguntarme quién pudo haberlo hecho o porqué.

Me aproximo a la línea amarilla que significa, no más de allá. Veo los rieles metálicos, por mis fosas nasales pasa el olor a hule quemado y siento un frío en forma de serpiente que recorre mi cuerpo. Sigo pensando en las noticias.

—Disculpa, ¿qué hora tienes? —Una voz femenina se escucha detrás de mí.

Sin ver el rostro de aquella mujer, saco el celular que se encuentra en el bolsillo de mis jeans viejos.

— Tres cuarenta.

Gracias. Al parecer el tiempo se ha adelantado de nuevo — dice aquella mujer. — No. En realidad, la gente es la que siempre se atrasa — respondo mientras veo hipnóticamente los rieles y trato inútilmente sacarme de la mente la noticia.

— También, pero tenemos suerte. Podemos disfrutar unos minutos más de tiempo, ¿qué podemos hacer? ¡Ya sé! Podemos ver el mural, por algo lo pusieron... Ya casi nadie lo aprecia por las prisas hacen del tiempo una locura y lo reducen a un reloj, como si le pudieran ganar. Nadie puede saber cuándo será la última vez para poder apreciar este espectáculo. Por ejemplo,

ahora *Micpapalotl* está volando sobre los rostros de nuestros conquistadores para luego situarse en nuestra América.

No quiero prestar atención a aquella mujer, no me genera desconfianza, pero tampoco me importa lo que dice.

— Las personas ya están muertas, pero en los murales parecen que reviven, todos los días reviven, cada vez que alguien se detiene a observarlos. Como aquellos muertos que se nos han olvidado, todos los días regresan cuando los recuerdan ¿no lo crees? — La mujer sigue hablando.

— Sí, como sea. — Intento acercarme más a la franja amarilla.

— No te preocupes. El tiempo que se conserva en las memorias no se pudre si se inmortaliza, es como un recordatorio, ya verás. Pronto, pronto... — dice la

mujer — ya casi llega el metro y podrás continuar.

Esas palabras golpean mi cuerpo, siento un cosquilleo en mi cuello, re-leo en mi cabeza “ya casi llega el metro”.

— *Aunque la vida me cueste llorona, no dejaré de quererte. Hay de mí llorona, llorona de un campo lirios, el que no sabe de amores, llorona, no sabe lo que es martirio...* — canta aquella mujer desconocida.

El tren emite ese pitido largo, cierro los ojos y recuerdo inmediatamente en modo de fotogramas el día que salí de mi habitación. Me dirigía al metro Copilco, yo salía llorando y desconcertada después de enterarme de un evento doloroso.

— La encontramos, está muerta, tiene que venir a declarar... — te dijo esa voz varonil.

Saliste de tu departamento tirando todo. Hasta olvidaste las llaves. Tus arrugas se inundaban de lágrimas, tu piel empalidecía y por momentos tu cuerpo se doblaba, pero seguías como si la única esperanza que te mantenía era saber que no era yo.

Tu voz aún con poca fuerza y quebrada decía —fueron los que los levantaron, ella desapareció en la manifestación, fueron los que los levantaron. — El médico forense cerraba la bolsa. Mi rostro estaba mugriento con algunas pústulas y moretones, mis labios con sangre seca y mis ojos semiabiertos casi mirándote por última vez. Ni siquiera podía sentir náuseas. Estaba parada a lado de ti y de mí, sin poder abrazarte.

Regresamos a casa. Te descascarabas y yo era tan impotente, ni una palabra que te mencionaba podías escuchar. Corrí desesperada a la calle, quería ir a cualquier lugar que estuviese lejos. Quería que fuese un mal sueño. Sueño con el metro Copilco con sus murales, con lo vivo. Ahí corrí. La multitud me ignoraba, sus empujones apenas y me rozaban.

Sueño con el metro Copilco. El mural cobra vida y me empieza arrastrar hacia sus paredes. Me resisto. El pitido del tren se acerca, el olor a hule quemado... ahí estaba de nuevo. Salté.

“*Que se haga tu voluntad llorona por suerte de Dios no viva, que se haga tu voluntad llorona, por suerte de Dios no viva, ¡Ay! de mi llorona, llorona de ayer y hoy...*” suena la canción desde una radio cubierta de flores de *Cempoalxóchitl* de papel, que carga un vendedor en los pasillos del metro Copilco.

Tirada entre los rieles veo el rostro de la mujer, era blanca y sin carne, un cráneo cubierto por un sombrero francés adornado de flores de luto y plumas; su cuerpo está cubierto por una serpiente emplumada. La mujer rasgaba la pared en el mural para reincorporarse a lado de Frida Kahlo en el “Sueño de una tarde dominical en la Alameda”.

El tren termina de pasar sobre mi cuerpo espectral. Los rieles me abrazan. Cadáveres se desentierran y me abrazan. Las paredes del metro Copilco crujen, los muros se reconstruyen con nuestros huesos. Los fríos cuerpos lodosos de *axolotls* emergen de entre los rieles y se enfilan como bloques. Pedazos de vasijas y ofrendas antiguas sellan la construcción. Las luces del tren empiezan a perderse detrás de la cortina de polvo y su sonido corre como eco en los demás túneles. El mural se conjuga con los rostros de las personas que esperan un nuevo tren, poco a poco se impregnan como un cuadro más a la pared, rostros de infinitas arrugas, rostros vivos y muertos. Al cerrar mis ojos veo por última vez el mural y aquella mujer me dice: regresa al mural para vivir de nuevo, para nunca olvidar, para nunca perdonar.



Sen ze stacji metra Copilco

Przyjechałam dokładnie o trzeciej trzydzięci na stację metra Copilco. Dzisiaj nie poruszył mnie mural Guillermo Cenicerosa. Zawsze na niego patrzyłam, czekając na przyjazd pociągu, czując się jego częścią. Tym razem nie.

W każdym zakątku muralu czułam meksykańską historię. W tych replikach dzieł sztuki współczesnych i nowoczesnych sławnych malarzy, przenosiłam się do wielkich kultur mezoamerykańskich. Czułam się jak jedna z namalowanych postaci. Niektóre twarze zatopione między obrazami były mi znane, miałam wrażenie, że nasze spojrzenia splatają się. Jestem Giocondą, jestem Bosco, jestem kopułą i jej starymi historiami. Jestem nawigatorem, astronomem i konkwestadorem. Jestem królem. Jestem wszystkimi historiami, które chciałam opowiedzieć.

Dzisiaj nie mogłam skoncentrować się na tym dziele Cenicerosa. Myślałam tylko o wiadomościach, które widziałam w telewizji. Prezenterka mówiła o wyginięciu ostatniego azteka, *El Axolotl*, ale od razu stało się to nieprzejrzyste, gdy ogłosili aresztowanie i zniknięcie kilku młodych ludzi, którzy demonstrowali u stóp Anioła Niepodległości. Przez moje ciało przeszedł dreszcz i na cały dzień uwięziłam tę wiadomość w mojej głowie.

Moje oczy znowu zatrzymały się na muralu - to samo, ten sam obraz.

Podczas patrzenia na replikę „Sen niedzielnego popołudnia w parku Alameda” zauważyłam ciemną plamę, która w pewien sposób zmieniała odbiór dzieła, chociaż prawie zniknęła w całości. Nie przykładałam jednak wagi do tego aby zadać sobie pytanie, kto mógł to zrobić i dlaczego.

Podeszłam do żółtej linii, która ostrzega by nie wychodzić poza nią. Widzę metalowe szyny, przez moje nozdrza przechodzi zapach spalonej gumy i czuję zimno węzowych kształtów, zimno które przebiega przez moje ciało. Ciągłe myślę o wiadomościach.

— Przepraszam, która jest godzina? — usłyszałam za sobą kobiecy głos.

Nie widząc twarzy tej kobiety, wyciągnęłam z kieszeni moich starych džinsów telefon komórkowy.

— Trzecia czterdzieści.

— Dziękuję. Wygląda na to, że czas poszedł do przodu — powiedziała kobieta.

— Nie. W rzeczywistości to ludzie zawsze pozostają w tyle - odpowiedziałam, i jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w szyny, bezskutecznie próbowałam pozbyć się telewizyjnych wiadomości z mojej głowy.

— Również, ale my mamy szczęście. Możemy cieszyć się kilkoma minutami czasu więcej, i co możemy zrobić? Już wiem! Możemy patrzeć na ten mural, na coś, co oni umieścili ... Prawie nikt już tego nie docenia z powodu pośpiechu, który czyni czas jakimś obłędem i sprowadza tylko do zegara, próbując go ujarzmić. A przecież nikt nie może wiedzieć, kiedy po raz ostatni będzie częścią przedstawienia. Na przykład, teraz *Micpapalotl* leci nad twarzami tych konkwestadorów, a następnie ustawia się razem z nimi w naszej Ameryce.

Nie chcę zwracać uwagi na tę kobietę, nie to, że mam wobec niej jakieś podejrzenia ale po prostu nie obchodziło mnie, co ona mówiła.

— Ci ludzie już są martwi, ale na muralu zdają się ożywać, a naprawdę ożywają każdego dnia i za każdym razem, gdy tylko ktoś przestaje ich obserwować. Jak nasi zmarli, o których zapomnieliśmy wracają przecież każdego dnia, kiedy ich tylko wspomnimy, nie sądzisz? - Kobieta wciąż mówiła.

— Tak, niech będzie. — Próbuję zbliżyć się jeszcze bardziej do żółtego paska.

— Nie martw się. Czas zachowany we wspomnieniach nie gnije, jeśli się unieśmiertelni, jest jak przypomnienie, zobaczysz. Szybko, szybko ... — powiedziała kobieta — metro jest już blisko i będziesz mogła kontynuować.

Te słowa rezonują w moim ciele, czuję mrowienie w szyi, ponownie słyszę te słowa w głowie „metro jest już blisko”.

— *Chociaż miałyby to życie kosztować Llorono, kochać cię nie przestanę. To ja Llorono z lilii polnych, on który nie zna miłości, Llorono, nie wie, co to męczeństwo...*” śpiewała nieznana kobieta.

Pociąg emituje długi sygnał, zamykam oczy i przypominam sobie od razu jak w fotograficznym skrócie chwilę, w której opuściłam mój pokój. Poszłam do metra Copilco, aby pozostawić płacz i oszołomienie po pewnym bolesnym wydarzeniu.

— Znaleźliśmy ją, ona nie żyje, musi pan przyjechać, aby zidentyfikować ...

— powiedział męski głos.

Opuściłeś swoje mieszkanie, porzucając wszystko. Nawet zapomniawszy kluczy. Twoje zmarszczki były zalane łzami, twoja skóra była blada, a czasami twoje ciało rozdawało się, ale kontynuowałaś drogę, a jedyną nadzieją, która jeszcze ciebie podtrzymywała, była ta, że to nie ja.

Wciąż słychać twój głos załamany, ledwie słyszalny — To byli ci, którzy ją podnieśli, a ona zniknęła w manifestacji. To byli ci, którzy ją podnieśli. — Koroner zamknął torbę.

Moja twarz była brudna, pokryta krostami i siniakami, moje usta z zaschniętą krwią, moje na wpół otwarte oczy patrzyły na ciebie po raz ostatni. Nawet nie mogłam poczuć mdłości.

Stałam obok ciebie i siebie, nie mogąc cię przytulić.

Wróciliśmy do domu. Rozpadałeś się, a ja byłam tak bezsilna, i żadnych słów, którymi cię przywoływałam nie mogłeś usłyszeć. Wybiegłam w rozpacz na ulicę, chciałam pojechać gdziekolwiek, byle daleko. Chciałam żeby to był zły sen. Sen ze stacji metra Copilco, z jego żywymi muralami. I tam uciekłam. Tłum mnie zignorował, swoimi pchnięciami ledwie mnie dotykał.

Sen ze stacji metra Copilco. Mural ożywa i zaczyna ciągnąć mnie w kierunku swoich ścian. Opieram się. Słyszę gwizd pociągu, czuję zapach spalonej gumy...znowu tam byłam. Przeskoczyłam.

„*Niech się stanie wola twoja Llorono, na szczęście Bóg nie żyje. Niech się stanie wola twoja Llorono, na szczęście Bóg nie żyje. Ah. Moja Llorono, wczorajsza i dzisiejsza...*” płynęła piosenka z radia ozdobionego papierowymi kwiatami *Cempalochitl*, które nosił ze sobą sprzedawca krążący po korytarzach stacji Copilco.

Leżąc pomiędzy szynami widziałam twarz kobiety, była biała, bez ciała, czaszka nakryta francuskim kapeluszem ozdobionym żałobnymi kwiatami i piórami; jej tułów pokrywał pierzasty wąż. Kobieta rozerwała ściany muralu, aby przyłączyć się do Fridy Kahlo w „Śnie niedzielnego popołudnia w parku Alameda”.

Pociąg kończył przejeżdżać po moim ciele. Otuliły mnie szyny. Zwłoki odkopują się i przytulają mnie. Ściany stacji metra Copilco skrzypią i odbudowują się za pomocą naszych kości. Zimne, błotniste ciała aksolotli wynurzają się z pomiędzy szyn i ustawiają jak klocki w szeregu. Kawałki naczyń i starożytne ofiary domykają konstrukcję. Światła pociągu oddalają się i giną za zasłoną pyłu, a jego dźwięk odbija się echem w innych tunelach. Mural współgra z twarzami ludzi czekających na następny pociąg, które jedna za drugą tworzą jeszcze jedną część obrazu na ścianie, twarze niekończących się zmarszczek, twarze żywe i martwe. Kiedy zamykam oczy, widzę mural po raz ostatni i ta kobieta mówi do mnie: wróć na mural, aby żyć jeszcze raz, aby nigdy nie zapomnieć, aby nigdy nie wybaczyć.



David Alejandro Pimentel Quezada

De las cosas

Una mujer no es una pieza de ajedrez,
no es un hacha, no es un ave.
Una mujer no es una escalera,
no es una puerta.
No es una explosión,
no es saco de golpes, no es una mesa.
Una mujer es el humo que se va,
el tren, el maquinista, el estruendo
y el movimiento que se pierde
en absolutas lejanías, es la noche.
La repetición de todo movimiento a todas horas.
Es el llanto, el grito, la asfixia,
la violación, el amontonamiento del silencio,
los ojos apagados.
Una mujer es una calle oscura,
la vuelta de la esquina,
el final del pasillo.
Es un faro con sombras donde bailan todas las luces,
donde descansan todos los perros agotados,
donde hay botes repletos de brazos y cabelleras alargadas.
Una mujer es un frasco de risas caídas
que se precipita al borde de la mesa.
Es el manotazo que hace perder
la suerte de las cartas.
El pulso latente bajo la mirada de todos.

Poetas

Los poetas no se mueren, ganan premios.
Tienen afrentas, desvarían, llevan trajes.
Cargan con un macuto de palabras tras la lengua.

Les crecen rosales en el bosque de sus almas;
tienen claros que iluminan sus corazones
colgados como jugosas manzanas.

Hay aves multicolor en sus adentros,
ellas cantan y los poetas vomitan
las palabras en los moldes.

Platón no los quiere en su república.
No necesitan de ello.
Se inventan historias.

Cantan a la luna enceguecidos,
devorados por sus propios fuegos
que lo consumen todo.

Llevan cigarros y voces llameantes
para encender hogueras en los desiertos.

Se inventan doncellas de cuyos nombres no quieren acordarse
porque se les seca el seso de poco dormir.
Cantan aunque no sepan el compás
y danzan perdidos y sin nadie que los salve.

Rzeczy

Kobieta nie jest bierką szachową,
nie jest toporem, ani ptakiem.
Kobieta nie jest schodami,
nie jest drzwiami.
Nie jest wybuchem,
nie jest workiem treningowym, ani stołem.
Kobieta jest dymem, który się rozwiewa,
pociągiem, maszynistą, dudnieniem
i ruchem, który zniknął
całkowicie w dali, to noc.
Godzinami powtarzanie tego samego gestu.
To płacz, krzyk, uduszenie,
gwałt, skupienie płynące z ciszy,
oczy przygaszone.
Kobieta jest ciemną ulicą,
na wyciągnięcie ręki,
końcem korytarza.
Latarnią morską z cieniami gdzie tańczą światła,
gdzie odpoczywają wszystkie wyczerpane psy,
gdzie są łodzie pełne ramion i długich włosów.
Kobieta jest naczyniem pełnym delikatnych uśmiechów,
które stoi na krawędzi stołu.
To policzek, który sprawia, że przegrywasz
szczęście w karty.
Puls ukryty pod spojrzeniem każdego.

Poeci

Poeci nie umierają, zdobywają nagrody.
Obrażają, szaleją, noszą garnitury.
Za językiem ukrywają torbę ze słowami.

Uprawiają róże w lesie swoich dusz;
mają jasność, która oświeca ich serca
wiszą jak soczyste jabłka.

W swoich wnętrzach trzymają wielobarwne ptaki,
one śpiewają, a poeci wymiotują
słowami w formach.

Platon nie chce ich w swojej republice.
Oni jego nie potrzebują.
Wymyślają historie.

Śpiewają oślepienemu księżycowi,
spaleni przez własne pożary
które pochłoną wszystko.

Mają przy sobie cygara i płonące głosy
do rozpalania ognisk na pustyni.

Wymyślają dziewice, których imion nie chcą pamiętać
Ponieważ wysuszają swoje mózgi brakiem snu.
Śpiewają nawet jeśli nie znają rytmu
i tańczą zagubieni i bez nikogo kto by ich uratował.



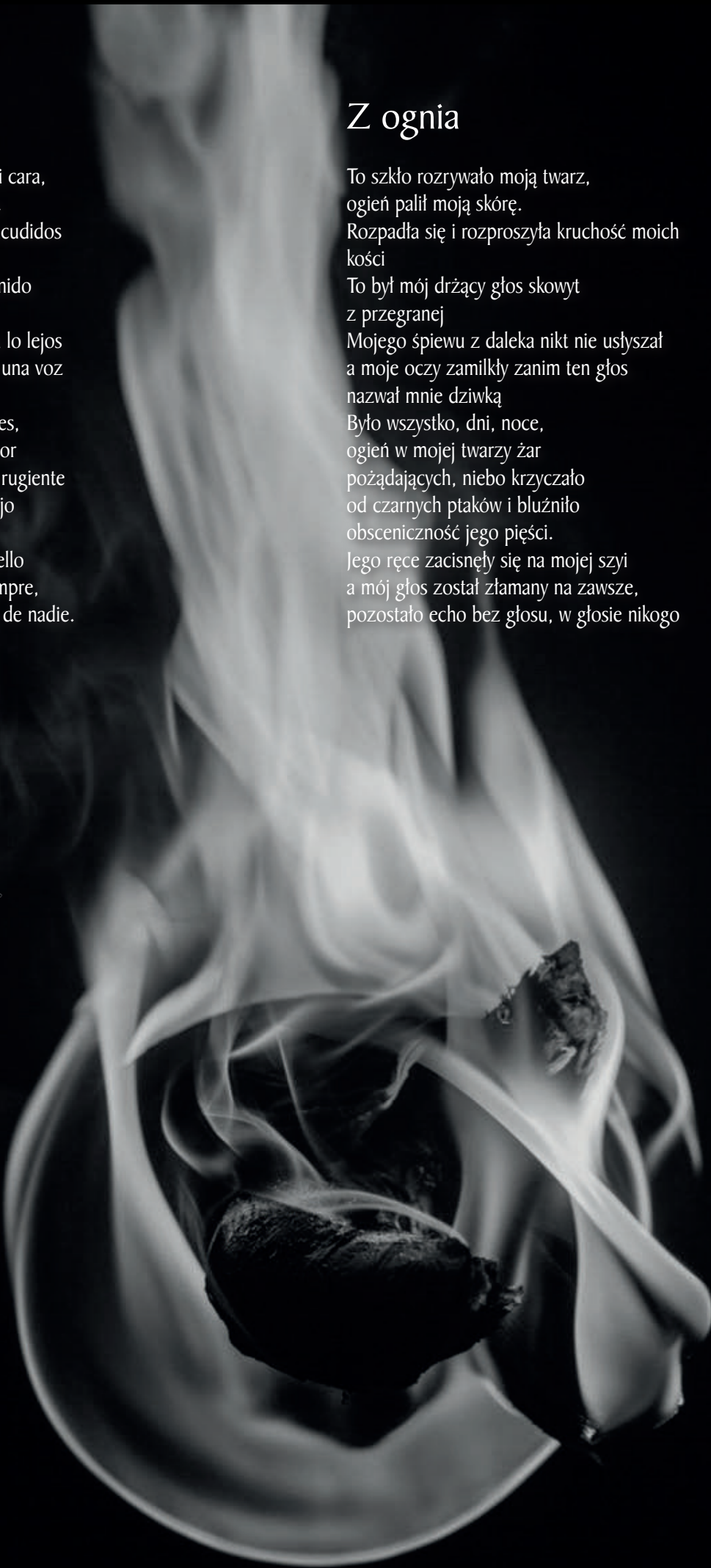
Del fuego

Fue el vidrio arrancando mi cara,
el fuego quemando mi cara.
La molicie de mis huesos sacudidos
y dispersos.
Fue mi voz trémula el graznido
del desastre.
Mi voz cantaba nadie hacia lo lejos
y mis ojos silenciaban ante una voz
que me decía puta.
Fue todo, los días, las noches,
el fuego en mi cara este ardor
de los amantes, fue el cielo rugiente
de aves negras y el escupitajo
obsceno de sus puños.
Sus manos apretaron mi cuello
y mi voz quebrada para siempre,
mi sólo eco sin voz, en voz de nadie.



Z ognia

To szkło rozrywało moją twarz,
ogień palił moją skórę.
Rozpadła się i rozproszyła kruchość moich
kości
To był mój drżący głos skowyt
z przegranej
Mojego śpiewu z daleka nikt nie usłyszał
a moje oczy zamilkły zanim ten głos
nazwał mnie dziwką
Było wszystko, dni, noce,
ogień w mojej twarzy żar
pożądających, niebo krzyczało
od czarnych ptaków i bluźniło
obsceniczność jego pięści.
Jego ręce zacisnęły się na mojej szyi
a mój głos został złamany na zawsze,
pozostało echo bez głosu, w głosie nikogo



Pocztówki z Meksyku

Meksyk. To nie było moje pragnienie, ale przez różne zbiegi okoliczności znalazłam się w cudzym marzeniu o Meksyku. Przed wyjazdem, wyobrażenie podróży do tego wielkiego kraju, trwającej ponad 5 tygodni, napawało mnie, a czasem wręcz dręczyło obawami. Od tej wyprawy mija trzeci rok. Przez ten krótki okres byłam tam, z właścicielem meksykańskiego snu, trzy razy i wybieramy się po raz czwarty. Co o tym sądzić? Nie wiem. Coś w tym kraju jest, że chce się tam wracać. W Meksyk zanurzałam się powoli i nieufnie. Przytłaczał mnie hałas, zapachy, słowa, dla których nie miałam w swojej głowie desygnatów lub desygnaty, dla których brakowało mi słów. A jednak wciągnął mnie definitywnie. W hałasie odnalazłam pewien porządek, zapachy trochę oswoiłam, a słowa i desygnaty porządkują ucząc się (od trzech lat ciągle od początku) hiszpańskiego lub godząc się, że nie wszystko ze sobą połączę. I jeszcze bardzo dziwna rzecz. Prawie nie znam hiszpańskiego, wszystkie rozmowy musiały mi być tłumaczone, ale kiedy wspominam spotkania z Meksykanami, to towarzyszy mi dziwne poczucie, jakby ten fakt nie miał znaczenia. Podczas naszych spotkań czułam się żywą częścią wymiany, która ma miejsce, kiedy spotykają się ze sobą LUDZIE.

Pocztówka z Palenque

Palenque to miasteczko w stanie Chiapas. Stanie słynnym z narkotykowych szlaków, najbardziej indiańskim, zapatystowskim, biednym, pięknym, dzikim. Stanie, do którego – gdy się wjeżdża trzeba przejść przeprawę celną. To tu niedawno zamordowano dwóch turystów, podróżujących na rowerach, w tym Polaka. Palenque swą nazwę zawdzięcza hiszpańskiemu zakonnikowi, a słynie z tego, że obok współczesnego miasteczka, okolicznej dżungli, z zielonych czeluści zostało wyrwane, stare majańskie miasto. Oczywiście zobaczyliśmy je i chcemy tam wrócić. Ale pocztówka nie o tym. Eksplorując ulice, odwiedziliśmy miejscowy rynek, na którym bawiący tłum mieszkańców, klauni zapytali się Darka czy nie jest przypadkiem Jezusem Chrystusem. Ostatecznie zakotwiczyliśmy na dłużej w maciupkiej, rodzinnej czekoladziarni. Wchodzi się tam prosto z ulicy, cztery stoliczki przykryte wydzierganymi na szydelku serwetkami, na ścianach obrazy i stare fotografie. Na półkach albumy fotograficzne, ukazujące życie w Meksyku z pierwszej połowy XX wieku. Trochę mi dziwnie, bo w zasadzie czuję się jakbym z ulicy weszła do cudzego mieszkania, ale moje samopoczucie

poprawia się, kiedy dostajemy menu. Sympatyczna właścicielka sporządza nam przepyszną czekoladę. Siorbiąc gorący napój, tradycyjnie robiony na wodzie, zaczynamy rozmowę, a że jest to wieczór, to do kawiarnianej przestrzeni zaczyna schodzić się rodzina, wpadają znajomi. Jesteśmy przedstawiani lub sami to robimy. Jako fanka starych fotografii zaczynam dopytywać się o osoby na zdjęciach. Syn właścicielki, młody, około 20-letni chłopak, przedstawia nam swoich przodków. Na jednym ze zdjęć gość o wybitnie niemeksykańskiej twarzy. To pradziadek, rosyjski Żyd, który przybył do Palenque na początku XX wieku i ponoć został pierwszym prezydentem miasteczka. Na kolejnej fotografii jego żona o indiańskich rysach. Rozmawiamy z nim o życiu w Meksyku oraz w Polsce, o historii, kulturze, muzyce, o naszych przygotowaniach do tej podróży. Nagle syn właścicielki zadaje mi pytanie, czego bałam się, jadąc do Meksyku. Odpowiadam mu trochę skrępowana, że bałam się wielu rzeczy, bo słyszałam, że to niebezpieczny kraj. Pokiwał głową i spojrzał na mnie mówiąc, że on boi się dokładnie tego samego co ja.

Pocztówka z San Cristobal de Las Casas

O San Cristobal z Wikipedii dowiecie się tego, że jest stolicą kulturalną stanu Chiapas oraz, że przebywa tu dużo obcokrajowców. I rzeczywiście to było miejsce, w którym spotkaliśmy ludzi różnych nacji. Nasz meksykański przewodnik nawet wtrącił z przekąsem, że można z powodu liczby Włochów, i prowadzonych przez nich pizzerii, mówić o tym mieście San Cristobal de Las Pizzas. Podobnie jak w Palenque, szwendaliśmy się po tym ciekawym miejscu, podglądając życie codzienne jego mieszkańców. Było koszmarnie zimno i w pewnym momencie zachciało się nam boskiego napoju Majów. Jakoś dziwnie nie kusily nas czekoladziarnie, w których panował międzynarodowy gwar. Za to przyciągnęło nas niepozorne miejsce z kilkoma stolikami, wyrobami artystycznego kowalstwa, które zdobiły ściany, kącikiem z tradycyjnymi przedmiotami do wyrobu czekolady oraz ciekawym obrazkiem. Był to skserowany z lokalnej gazety artykuł, z którego dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się w najlepszej czekoladziarni w stanie Chiapas. Miła pani podała nam aromatyczny płyn w filiżankach. Obok kręcił się starszy mężczyzna. Jak zwykle zaczęliśmy pogawędkę. Nie minęło wiele czasu, a już znaliśmy swoje imiona, koneksje rodzinne i tym podobne. Poptłyneły opowieści i znowu



przebiegł mnie ten dreszcz, kiedy ma się wrażenie, że słowa płyną z serca do serca, że można być siebie ciekawym i na siebie otwartym, że w tak krótkim czasie można skrócić dystans pomiędzy Polską a Meksykiem i wygenerować bliskość. Przychodzi czas pożegnania, a mi robi się smutno. Widzę, że Darek też jakiś nieswój. Señor Jose, bo tak nazywa się ów starszy mężczyzna i właściciel tego miejsca, mówi do nas, żebyśmy pamiętali, że w świecie są dwa rodzaje miłości. Jedna to ta, która jest za tymi drzwiami, a druga wydarza się właśnie tu i teraz między nami i że od tej chwili tu też jest nasz dom. Słowa tak mnie poruszają, że choć nie chcę, bardzo się wzruszam i nie daję rady tego ukryć. Patrzę na Darka – ma to samo. Patrzę na Señora Jose – jego spojrzenie także jest wilgotne. Ściskamy się i bardzo cieszymy, że przyjdziemy jutro i że nie jest to czas właściwego pożegnania.

Pocztówka z Mahahual

Do godziny 10 i od 16 przy niekorzystnej pogodzie Mahahual to wieś, w której nie ma nic. No może oprócz najlepszych na świecie bułeczek cynamonowych, morza i plaży porośniętej kokosowymi palmami. Kiedy jest słońce i przyplływają wielkie wycieczkowce, opustoszałe plaże wypełniają amerykańscy gringos, dla których bary przy plażach mają specjalne menu w języku angielskim oraz z amerykańskimi cenami. Wówczas, jakby spod ziemi, wynurzają się też obnośni sprzedawcy, od których można kupić wszystko lub prawie wszystko. Każdy bar ma swój odcinek plaży i zanim nadciągający tłumnie goście wpasują się w leżaki, hamaki, krzeselka i inne sprzęty są kuszeni przez pracujących kelnerów wyjątkową ofertą tego właśnie miejsca, a jest ich wiele. Przy czym wydaje się, że na ulokowanie się na leżaku bezpośrednio przy morzu ma wpływ wygląd człowieka, ponieważ kiedy usiłujemy zająć miejsce na jednej z bardziej komfortowych miejscówek, kelner mówi nam, że wybrane przez nas leżaki są zajęte. Chyba nie rokowaliśmy jako kandydaci na duże zamówienia. Na plażę pierwszy raz trafiamy, kiedy już jest zajęta przez naszych białych braci. Trochę się kręcimy nie wiedząc, co ze sobą zrobić, bo miejsca na ręcznik na piachu brak, gdy podchodzi do nas kelner, a z jego szerokiego uśmiechu radośnie daje znać brak górnej jedynki. Zaprasza nas, zagaduje, jest zabawny i bardzo otwarty. Odpowiadamy tym samym. Tak poznajemy Señora Valente. Najpierw myślimy, że to właściciel baru. Zachowuje się bowiem tak jakby nim był. W trakcie drugiej podróży myślimy, że to prawa ręka właściciela, zaś podczas trzeciej dowiedzieliśmy się, że „nasz” Valente ani z jedną ani z drugą rolą nie ma nic wspólnego. Pomimo że Señor Valente jest mocno

zajęty obsługą gości, to zagaduje nas co jakiś czas i kiedy prosimy o menu, przynosi nam te w języku hiszpańskim. Ceny są w nim niższe niż w tym dla wycieczkowców. Uznajemy to za wyróżnienie. Już od pierwszej wyprawy zacieśniamy nasze więzi i widać, że Señor Valente nas polubił. My go zresztą też. Na moje oko ma wybitne ADHD i sam mówi o sobie un poco loco (czyli, że jest trochę szalony). Potem zauważamy, że reszta młodych pracowników odnosi się do niego z lekkim dystansem. Naszą znajomość uwieczniamy na fotografii. Gdy odwiedzamy Mahahual za drugim razem i przywozimy mu jakiś drobiazg z Polski bardzo się wzrusza, że pamiętaliśmy o nim. Dajemy mu nasze wspólne zdjęcie w wersji papierowej i opowiadamy, jak wspominaliśmy go niekiedy w ponure polskie, zimowe wieczory. Znowu wspólne rozmowy pomiędzy obsługą gości a naszym nicnierobieniem. Dowiadujemy się, że Señor Valente ma dwoje dzieci i kłopoty z żoną. Dlatego czasem pije więcej niż wskazuje norma. Chociaż jest dalej szalony, oczy jakby mu przygasty, trochę zaokrąglił się brzuch, a w spojrzeniu zamieszkał smutek. Wpadamy czasem na pogawędki po pracy, kiedy odświeżeni i wyelegantowani kelnerzy przesiadują na deptaku, bo zdaje się w Mahahual to jedna z nielicznych atrakcji po całym dniu na wysokich obrotach. Na nasz trzeci przyjazd Señor Valente reaguje niedowierzaniem. My zresztą też niedowierzamy, że udało się nam go znaleźć. Okazało się, że zmienił bar, a jego kelnerska pozycja spadła. Nie był głównym zarządzającym w obsłudze, do którego pozostali przynosili napiwki by je podzielili, ale jednym z wielu kelnerów. Przytył, wypijany alkohol zrobił swoje. Spojrzenie mu przygasto i choć bardzo się starał być loco sprawiało mu to wiele wysiłku. Znowu był wzruszony, że się z nami widzi, a my byliśmy stęsknieni jego poczuciem humoru, otwartości i nieudawanej radości. Takiej czystej, jaką posiadają dzieci, Señor Valente i my. Przeglądaliśmy nasze wspólne zdjęcia z poprzednich pobytów, wspominaliśmy niepracujących już kelnerów, omawialiśmy sytuację jego poprzedniego pracodawcy, miasteczka, Meksyku i Polski. Wstydził się, spotykając nas wieczorami w sklepie, gdy kupował flaszkę. Pod koniec naszego trzeciego pobytu tradycyjnie zrobiliśmy sobie razem zdjęcie. Myślę, że wzbudzaliśmy pewną sensację naszą znajomością wśród kelnerów z plaży, bo Señor Valente z dumą zawsze przedstawiał nas jako swoich przyjaciół z Polski, którzy przyjeżdżają do Mahahual też ze względu na niego. Ostatniego dnia naszego pobytu obiecał przyjść rano na przystanek autobusowy, żeby nas pożegnać. Prawdę powiedziawszy myślałam, że nie zrobi tego, bo wieczorem był bardzo pijany. A jednak przyszedł. Ostatnie życliwe słowa, najlepsze życzenia powodzenia i szczęścia, uściski. Łzy w oczach Señora. Łzy w naszych.

fol. Bożena Chrostowska



JOANNA ROSTAŃSKA

MURALIZM MEKSYKAŃSKI

Mural jest to malarstwo monumentalne, wykonane na murze lub innej dużej powierzchni, udostępnione dla wszystkich.



Malarstwo ścienne jest najbardziej logiczną, najczystszą i najsilniejszą formą malowania. Jest również najbardziej bezinteresowną, ponieważ nie można go przekształcić w obiekt osobistych korzyści, ani też nie można go ukryć dla korzyści nielicznych uprzywilejowanych. Jest dla ludzi, JEST DLA WSZYSTKICH.

José Clemente Orozco, 1929

W Meksyku muralizm to artystyczny ruch o charakterze popularnym, który powstał po Rewolucji Meksykańskiej w 1910 roku. Odrzucił tradycyjne malowanie obrazów na sztalugach i inne prace pochodzące z kręgów intelektualnych.

Rozpoczęty na początku XX wieku, był jednym z najważniejszych artystycznych trendów w Meksyku. **Diego Rivera, David Alfaro Siqueiros i José Clemente Orozco** to główni przedstawiciele tego ruchu. Jego celem było pokazanie ludności meksykańskiej, niezależnie od rasy czy klasy społecznej, historii kraju, poprzez malowanie na murach najważniejszych wydarzeń politycznych i społecznych Meksyku. Inni uznani malarze muraliści, to Rufino Tamayo, Roberto Montenegro, Federico Cantú, Juan O'Gorman,

Gerardo Murillo (znany jako Doctor Atl), Carlos Mérida, Pablo O'Higgins, José Guadalupe Posada czy Leopoldo Méndez.

Do rozwoju muralizmu w Meksyku przyczynił się José Vasconcelos, poeta, polityk, intelektualista, Minister Edukacji, który zlecił namalowanie pierwszych murali w starym klasztorze Piotra i Pawła. Uznaje się, że to one zapoczątkowały ten artystyczny ruch. Wykonali je Roberto Montenegro i Xavier Guerrero. Ponieważ w tym okresie zaczęło pojawiać się coraz więcej możliwości malowania na murach, Rivera i Siqueiros, którzy przebywali w Europie, wrócili do Meksyku, żeby podjąć się tego zadania.

Główną cechą muralu jest jego monumentalność, przedstawiona nie tylko przez rozmiar ściany, ale także przez kwestie kompozycyjne namalowanych na niej obrazów. Ich cechą charakterystyczną jest to, iż są one tak malowane, że płaszczyzny, które znajdują się w tym samym polu plastycznym, można oglądać pod wieloma kątami lub z różnych punktów widzenia, uzyskując w ten sposób efekty, które nadają tym pracom ogromną dynamikę wizualną.

I chociaż muralizm jako ruch artystyczny obejmował prace wykonane do 1955 r., kiedy to stracił swoją początkową siłę, istnieje wiele murali, które wciąż są malowane w całym Meksyku z tym samym przesłaniem. Malowidła można znaleźć w budynkach rządowych, kościołach, szpitalach, metrze czy szkołach;

Muralizm był ważnym nurtem artystycznym, który zmienił sposób myślenia o rdzennych Meksykanach, podkreślając ich kulturę, historię, tradycje. Wpłynął również na artystów tamtego okresu – zarówno meksykańskich, jak i zagranicznych – tak, że wielu z nich zaczęło przedstawiać w swojej sztuce tematykę o treściach politycznych i społecznych, starając się przedstawić ją tak, aby była zrozumiała i użyteczna dla szerokiej publiczności.

fol. Joanna Rostańska





rys. Urszula Zabłocka

KAROL FRYTA

Jesień

To nie będzie jesień, do której przywykłem. Bez eksplozji i uniesień, choć jakby na przekór wszystkiemu jest piękna, lato już się rozpuściło i z całym bagażem słońca, wieczornych przygód i przechadzek zaanektowało wrzesień. Zresztą ten miesiąc jest wyjątkowy. W telewizorze mówią, że tak ciepłego września nie było od półtora wieku aż trudno sobie to wyobrazić.

Brodzę w leniwie opadających liściach, pociągając nosem przemierzam miasto, zaplątałem się nawet nad Jezioro Długie, gdzie lubię przychodzić, choć w niedzielę panuje tam szczególny zgiełk i trzeba zręczności alpejczyka, aby wymijać bezpańskie dzieci, ciężarne kobiety, biegaczy, rowerzystów czy babcie, które pochylone nad wodą jak spragnione kwiaty, karmią łabędzie. Im dalej w las, tym więcej wędkarzy, którzy przyklejeni do krawędzi jeziora niczym huba do drzewa, moczą wędki w mętnej wodzie, wylawiając anemiczne ryby. Hałas niesie się po wodzie, mam wrażenie, że Długie zaraz się zagotuje. Nie zaznam tu chyba spokoju, chciałbym przez chwilę побыć sam, ale coraz trudniej w tym mieście o miejsce, gdzie można się zaszyć.

To nie będzie jesień, która mnie stymuluje, jakby wbrew naturze, bo kiedy wszystko obumiera, to ja ożywam. Ty się kładziesz, ja wstaję lub drzemię jak we frontowym okopie zawsze czujny, zawsze z półotwartym okiem. Pobudzony szukam wrażeń zaczynając dzień już o czwartej rano, choć za oknem piwniczna ciemność i mogę się jedynie domyślać, że ściana lasu, którą zawsze z niego widzę, jest na swoim miejscu.

To właśnie jesienią dochodzi u mnie do największych zmian. Łamię sobie wówczas ręce lub palce, zaraz po tym kobiety mojego życia łamią mi życie. Największe zmiany zachodzą wtedy, gdy za oknem leje deszcz, ba, gdy pojawi się pierwszy, wąty śnieg. Jesienią wszystko we mnie goreje. W październiku lub listopadzie często zmieniam pracę, by kolejnej jesieni znaleźć sobie inną. Ta pora roku zawsze sprzyja planowaniu kolejnych wypraw. Lubię wodzić palcem po złachanej

mapie, wertuję przewodniki, surfuję po portalach turystycznych, analizuję ceny biletów, szukam najlepszych połączeń, robię zestawienia miejsc wartych obejrzenia i tych, w których moja noga nigdy nie zostanie. Nie uwierzysz, ale wczoraj byłem na Syberii, podróżowałem też z Wojciechem Góreckim po Kaukazie, a z pułkownikiem Grąbczewskim próbowałem dotrzeć do przyjaznego Kaszgaru. Muszę przyznać, że z Paulem Theroux nie lubię podróżować, bo wydaje mi się wyniosły, a jeśli chodzi o Jacka Hugo-Badera, to mam mieszane uczucia, bo nigdy nie wiem, kiedy pisze prawdę, a kiedy kłamie. Choć wiem, że mógłby się obrazić za tę uwagę, gdybyśmy się tylko znali.

Wszędzie żółć, zgniła zieleń, słońce przygrzewa miękko, choć razi. Tracę równowagę, ślizgam się na kasztanach, które lubiłaś zbierać, powtarzając, że trzeba je przechowywać, bo odstraszą złe moce. Rzucając nimi w parku przy Wojska Polskiego zastanawiam się jednak czy to prawda, czy jest może wręcz przeciwnie. Bo jak wytłumaczyć to, że wróciłaś do miasta? I to tak niespodzianie.

Wydawało mi się już, że wymazałem cię z pamięci, z najgłębszych zakamarków wyrugowałem wszystkie szczegóły, twoja twarz wydaje się już coraz bardziej mglista, bo pozbyłem się wszystkich twoich zdjęć. Sformatowałem nawet dysk, żeby przypadkiem nie zachował się żaden ślad. Bywało, że zastanawiałem się, czy w ogóle istniałaś, czy nie byłaś wytworem mojej nieokiełznanej wyobraźni.

No, ale jesteś i wygląda to na kiepski żart, ale będziemy pracować w tej samej firmie. Wydaje mi się, że jestem wściekły, bo bezceremonialnie wchodzisz w moje życie, nie uprzedzając mnie o tym. Przecież poukładałem sobie wszystko. Przemierzam codziennie drogę do pracy sam i sam z niej wracam. Moje weekendy zlewają się, w zasadzie mógłby istnieć tylko jeden dzień tygodnia, bo wszystkie dni są do siebie podobne. Zrezygnowałem z uniesień, porywów serca i tanich namiętności, które burzą spokój, nie wprowadzają do mojego życia

fol. Adrianna Wyszynska



nic prócz trosk, kaca i odrazy do samego siebie. Uporządkowałem dni, tygodnie, tak jak sprzątam dom co sobotę. Mimo że jestem niezorganizowany to w tej kwestii stałem się metodyczny i pilny.

Zacząłem spotykać się z prostytutkami. Nie wiem czy to popęd czy autodestrukcja, bo jeśli dla ciebie jestem nikim, to może łatwiej będzie mi to zrozumieć, kiedy mój stosunek do siebie samego będzie podobny.

To nie są budujące wizyty, bo wchodzę do domów tych kobiet z poczuciem winy. Czuję się niestosownie, kiedy osiemnastoletnia dziewczka wkłada do ust mojego członka, który za nic nie chce być w wzwodzie. Leżę na łóżku, na wymiętym prześcieradle, uważnie studiując jego wygląd, czy czasem nie ma zaschniętych plam spermy. Doświadczam dyskomfortu, gdy rozglądam się po pokojach tych młodych dziewczyn, wydających się martwymi, jak ich mieszkania. To wynajmowane stancje, sutereny w dzielnicach domków jednorodzinnych, do których prowadzą boczne wejścia. To często podpiwniczonia, do których nie dociera światło i uczucia. Rozglądam się wokół, patrzę na odchodzące tapety, jasnobrązowe meblścianki, wytarte chodniki, tanie kosmetyki poustawiane na półkach jak książki. Gdzieniegdzie stoją tandetne drzewka bonsai lub zakurzone maskotki, które dziewczyny dostają od zakochanych wielbicieli.


Ale najbardziej przeraża mnie pustka w tych pomieszczeniach, podobna do pustki w ich oczach, bo mimo tych wszystkich przedmiotów, które personalizują pokój, brakuje w nich ducha i szczerości. Nidzie nie widziałem książek, pamiętek z podróży, oznak pasji, poświęcenia się komuś lub czemuś. Równie dobrze tych szczątkowych oznak życia mogłoby nie być wcale i nic by to nie zmieniło w życiu tych dziewczyn.

Pewnie spytałabyś, co to za kobiety. Nie wiem, staram się z nimi nie rozmawiać. Zbyt uwłaczające dla mnie i dla nich są te wizyty, więc pozostajemy w układzie sprzedawca – klient. Nie wchodzę z nimi w bliskie relacje, zażyłości, choć zdarzają się takie kobiety, które rozpoczynają rozmowę, jakby pytały o radę w doborze bluzki, czy butów. Wypytują mnie po co przyszedłem, jakbym miał też inny cel poza wiadomym, a może trafiają się faceci, którzy chcą za te pieniądze po prostu pogadać? Niektóre histerycznie się śmieją, próbując ukryć swoje zdenerwowanie, a przecież oboje się denerwujemy, bo nie jest to komfortowa sytuacja dla żadnej ze stron.

Nie sypiam z nimi. Paradoksalnie czułbym się z tym źle, bo sferę tę zarezerwowałem dla ciebie i nie chciałbym wkładać członka tam, gdzie wkładało go przede mną wielu innych facetów. I to, najbardziej mnie porusza. Tracę szacunek dla siebie, nie mam go też dla tych kobiet, bo podobnie jak u mnie jest to ich wybór, a nie konieczność, bo nie mają, na przykład, co na chleb położyć lub są zmuszane do nierządu przez bułgarskiego alfonsa. Niektóre robią to dla sportu, „żeby mieć na paliwo, bo jest coraz droższe, a nie chcę cały czas zaglądać do portfela starych”, inne bo to lubią „ale nie połykam”, a jeszcze inne z doskoku „bo dziś piątek i nie mam kasy na wyjście”.

Leżę lub siedzę, nigdy nie mogę dojść, jakbym miał kłopoty z prostatą, czy sześćdziesiąt lat. Zamykam oczy, czuję zapach innych mężczyzn, bo cały pokój wypełniony jest testosteronem i cieniem poprzednich nieudaczników, zdrajców, zakompleksionych Piotrusiów Panów i innych frustratów, którzy przychodzą na Kanta, Mroza, czy szukają ujścia swoich żądź na Dajtkach czy Osiedlu Mazurskim.

Wychodzę stamtąd szybko i co by się nie działo, to na zewnątrz zawsze jest cicho. Jakby nadchodziła inna pora roku.



Piotr Burczyk

Pchli targ

Na pchlim targu,
na ziemi i gazetach,
leżą setki testamentów.
Ich wykonawcy stoją
i liczą na przechodzący tłum
spadkobierców, łasych na dziedzictwo
za parę groszy.
Poobijana kanka po mleku
nie pachnie już serwatką
a jedynie kurzem i latami,
przelanymi aż do ostatniej suchości dna.
W rdzy motyki wciąż jeszcze ślad
ziemi z ogrodu z marchwią i pietruszką.
Lampy wyrwane z pustego magazynu,
ochlapane wapnem ostatniego malowania.
Ciemne i bezwładne, spętane kablami
rzuconymi w trawie.
Szkłanki i filiżanki
poukładane bez ładu i składu
w kartonach i skrzynkach -
dawno wyschły i pogubiły podstawki.
Emerytowana bezsenna szafka nocna,
krzesła o zmęczonych oparciach,
mimo wszystko trzymających się prosto.
Kolekcje monet, za które kupić można
jedynie błysk w oku kolekcjonera.
Osmalone garnki do gotowania
na fajerkach – puste i głodne.
Metry koszul, spodni,
sukienek i bielizny;
swoje już odegrały, ale po cichu liczą
na wejście w drugim akcie.
Na razie leżą zwinięte i pokurczone
na stosach, jak na połamanym wybiegu.
Spotkania na pchlim targu;
z ręki do ręki,
z piwnicy do torby,
z wystawki do bagażnika,
z przeszłości w zawieszenie.
Czasem uratowana pamięć o szewcu
i jego wytartych kopytach na martwe buty.

07.09.2018

Wojciech Matera

przez skrajne zagony

buty wygodnie zdarte z językiem niesnurowanym
podeszwa wrażliwa na podłoże
podłoże obfite w kamienie
te znów mijane po drodze
nie znoszą bruku znoszone na nim
błoto łąta dziury
chodzą własnymi śladami znaczą
co chcą nie jak wypada a jak wypadnie
co wola niesie wolno
buty wygodnie zdarte
choć czasem rozdarcie i bywa też
chłodno
...prowadzą

JeDNA Miłość!
Wojtek-konstruktor Iskrownika

po ranne wyrazy

nim grymas z uśmiechem flirt zacznie od ucha do uszka
nim oko na bakier okami połowy na boje rzuci wodzone wpływami
nim kolor jaskrawy płótno odzieje kołem toczonym po klucz do palety
nim seria numer i transfer w łożysko zastąpi dotyk...
rozmawiaj ze mną – nim znikną gdzieś wszystkie rozmowy
to nie nasz sen

JeDNA Miłość!
Wojtek-konstruktor Iskrownika



Most

Stał tam na moście drogowym i patrzył na równoległy kolejowy most średnicowy. Pod nim zamrznęta Wisła. Kry przemieszczały się na północ. Stał tam nieruchomo w futrzanej czapce,

grubym palcie i waciakach. Stał nieruchomo i patrzył. Niski chłopak. Nie, to nie chłopak, to mężczyzna, między 40 a 50 lat. Chłopakiem był gdy tu przyjechał z pod sandomierskiej wsi. Wtedy to był czas. Budował ten most. Wszyscy budowali. Jedni budowali Trasę, myśmy budowali most. Most był wtedy potrzebny. Jak inaczej przejechać. Dali nam jakieś sznury, związali do takich drewnianych bali. Podawali jeden po drugim takie nity, trza było wbijać i przymocowywać. I tak jeden po drugim, i tak cały dzień i całą noc. Miał być czyn. Miało być zrobione, to żeśmy robili. Jednej nocy, a to chyba już jesień była, wiało strasznie, chociaż chyba i padało. Nie, nie padało wtedy. Była jesień na pewno. Już nie pamiętam. Całe dni żeśmy

robili. No i zerwała się lina. A może ktoś podciął. Kto to wie. Pełno się takich kręciło, co to, wie pan, robili nie robili, to i owo gadali. A to po to żeby nas zmotywować do pracy, do jeszcze cięższej pracy. No i co? Nic no. Zerwała się lina, spadłem te kilkanaście metry do wody. Tak, pamiętam to. Zanurzyłem się głęboko, zimna woda jak cholera. Szok, panie. Zachłysnąłem się. Dalej nie pamiętam. Tylko kawałek. Jak leżę na brzegu chyba, pod zachodnim przęsłem już ukończonym. Cucili mnie czy coś. Pamiętam głowę brygadzysty. Przeszło, filar, jakieś twarze. Tak teraz pomyślałem o tym patyczku z waty, co to codziennie widziałem na podłodze, w łazience, rano, kiedy ona już była na zmianie w pracy. No, a wtedy, chyba mnie cucili. Może na chwilę odzyskałem przytomność. Obudziłem się w szpitalu, wyskoczyłem z łóżka, powiedziałem że wracam do roboty. Doktor kazał zostać, i ona tam wtedy była, pracowała jako pielęgniarka. Widziałem ją wtedy po raz pierwszy. Doktor kazał mi zostać. Mówił: kilka dni. Ona mówiła: proszę odpocząć. Jest pan zmęczony, pan pracuje całe dni... I noce, jej mówię, i dni i noce robimy. Bo musimy to skończyć, musimy na czas,

przed czasem, potrzebujemy mostu, wszyscy go potrzebujemy, ech... Chyba zasnąłem znowu. Kiedy się obudziłem znowu tam była. Uśmiechała się. Nikt tak się nigdy do mnie nie uśmiechał, żadna kobieta. Wróciłem do pracy szybko. Byłem młody, dziewiętnaście lat. Bez szkoły. Musiałem pracować. Teraz znowu przypominam sobie o tym patyczku z waty, co to codziennie widziałem na podłodze, w łazience, rano, który ona zostawiała, upuszczała na podłogę. Ja podnosiłem i kładłem na krawędzi zlewu. Wtedy, po tym, w szpitalu, ja poszedłem z kwiatami do niej. Do pracy wróciłem, most skończyliśmy. Mieszkałem później o tu, niedaleko tego mostu. Teraz nie mam czasu, ale czasem jak jadę autobusem na Pragę to patrzę chwilę na ten most, ale krótko. Bo autobus to pruje i nie mam czasu pomyśleć. Teraz tu stoję, jest zimno. Pracowałem tu o, na tym moście, budowałem go proszę pana. Wszyscyśmy wtedy budowali. Mam dyplom nawet. Gdzieś tam leży, w szafie, w pudełku.



fol. Adrianna Wysznińska

ku. A może nie? Może ona to zabrała to pudełko jak się wyprowadzała. I co się stanie z tym dyplomem? Pewnie go wyrzuci, a może córka weźmie. Powie: mój tata budował ten most, tak jak wszyscy budowali wtedy Warszawę. Pewnie nie, pewno wyrzuci, przy przenosinach, na nowe mieszkanie, na własne mieszkanie, tam na te bloki wielkie, na Ursynów. Ona już dwadzieścia lat ma. Młodzi się nie interesują, nie wiedzą. Co jej starzejący się ojciec, co most budował. Kogo to obchodzi. Młodych to nie obchodzi. Ważne, że zbudowane, że kolej jeździ. Zimno. Zaczyna wiać. Niedługo wiosna. Trzeba iść stąd. Znowu ten patyczek z waty, co to codziennie widziałem na podłodze, w łazience, rano, który ona zostawiała, upuszczała na podłogę. A ja go podnosiłem, kładłem na brzegu zlewu, a potem znikał. Wieczorem już go nie było. Mogłem zatrzymać taki jeden, na pamiątkę. A teraz nie mam nic. Jest most jeden i drugi. Cośmy zbudowali. Płyną kry, do Gdańska. Tam do morza. Ech, iść trzeba zimno. Za długo tu stałem. Może już odblokowali ulicę i złapię jakiś autobus. A może dalej piechotą. To w końcu tak niedaleko.

lipiec 2018



STRACH

Słońce żarzyło się potem. Powietrze wypełniała kwaśna woń. Wypięte zady pracujących w polu kobiet spoglądały na ogień z nieba obojętnie, kołysząc się miarowo.

Jedna z nich, Karolina, zerwała się nagle z krzykiem.

– On się gapi!

Kobiety wybuchły śmiechem. Bawiła ich myśl, że zrobiony ze słomy i szmat strach na wróble może zaczepiać Karolinę. Nawet, jeśli jakiś dowcipniś domalował mu niebieskie oczy.

Kobiety wróciły do pracy, tylko Karolina niespokojnie odwracała głowę. Zdawało jej się, że ręce z kija na krzyż lekko się poruszają. Nie chciała jednak w to wierzyć.

Gorączka wypełniła powietrze. Zmęczone kobiety rozsiadły się pod drzewem. Krople potu spływały im po skórze, nurkując w pełne dekolty i dalej. Marzyły o końcu pracy i powrocie do domu, do mężczyzn. Niejedna zaciskała uda, bo upał rozlewał się głęboko. Patrzyły na stracha na wróble, który sterczał w ukropie bez skargi. Jakiś dowcipniś dorobił mu drewniane przyrodzenie.

– Niczego sobie – powiedziała jedna z kobiet, a reszta znów zaczęła się śmiać. – Taki to zawsze gotowy.

– Mój też zawsze gotowy i co z tego? Nigdy go w domu nie ma.

– Bo on z tą gotowością po wsi lata.

– Oj przymknij się głupia. Do ciebie na pewno nie lata!

– Cicho baby – krzyknęła najstarsza z nich. – Sprawdźmy coś. Ty Karolina, ty nie masz chłopca, co?

– Nie mam – zawstydziała się dziewczyna.

– To podejdź teraz do stracha i cyca mu pokaż.

– Co ty mówisz? Nie pójdę!

– Idź, jak strach się ruszy, to na szczęście, zaraz chłopca znajdziesz!

– Nie chcę, nie pójdę.

– Idź, jak mówię – warknęła kobieta.

Karolina wstała z cienia. Rozpięła guziki i ręką pomogła piersiom wyrzeć spod koszuli. Podeszła do stracha. Oczy z niebieskiej farby wlepiały się w kołyszące się krągłości. Karolina wyciągnęła rękę, aby pogłaskać słomianą twarz.

– I co, rusza się? – krzyczały baby spod drzewa.

Z farbowanego oka potoczyła się niebieska łza.

– Nie, stoi jak stał – odpowiedziała Karolina, udając, że nic nie widzi. Kobiety zanosły się śmiechem.

– Wróć wieczorem – szepnęła, zapinając koszulę. – Tylko stój, jak stoisz.

Wiatr, który zerwał się nagle nie wiadomo skąd, poruszył strachem z niecierpliwości.

Opowiadanie pochodzi z tomu „Małe Grozy”, który ukaze się w Wydawnictwie Literackim.

URSZULA KOSIŃSKA

współwinni

nietknięci śmiercią
odporni na zmiany
trwają gdzieś przecież
i trwają ich dzieje
to się zdarza
kiedy nas obejmie
ów czwarty wymiar
pamięcią nazwany
w pamięci bowiem
trwają te zamęty
przeszłość ich strzeże
w swym zaklętym kręgu
gdzie wschód i zachód
są tą sama chwilą
oni
cali z czasu
krwi i umierania
zapisują nicność
nikomu

VOYTEQ HIERONYMUS BORKOWSKI

13 grudnia 1989 roku, niedziela, dzień świętej Łucji z Syrakuz

druga niedziela grudnia
pogoda syfiasta jak bekon w polewie czekoladowej z cynamonem
właśnie urodziła się Amy Lynn Lee¹ właśnie zmarł William Kirk
Jackson²

mam osiemnaście lat
ale do dziewiętnastu brakuje mi tylko czterdziestu dziewięciu dni
a moja ulubiona pelisa to stara wojskowa kurtka z demobilu

do Bożego Narodzenia zostało dwanaście dni
trzeba chodzić na roraty matka tego pilnuje nazywa mnie
komunistą
cała radość że w kościele jest w miarę ciepło i można się nudzić na
poziomie optimum termicznego

mam kurewskiego kaca po wczorajszym i chciałbym go mieć jutro
to dlatego żeby przeżyć dziś bo pojutrze jakoś będzie
jednak sklepy i knajpy zamknięte lecz znajome meliny otwarte
i chwała im za to

nie mogę się nigdzie dodzwonić bo chuje wyłączyły telefony
ludzie mówią że Wałęsa siedzi a Jan Paweł II właśnie leci swoim
samolotem do Polski
podobno ktoś z kimś postrzelał się na ulicy i są trupy

idąc powtarzam jak mantrę rorate cœli desuper³
najlepiej pod umiłowaną postacią czterdziestoprocentowego
etanolu
bo jako uczeń pomaturalnej kolejówki upodobałem go do końca

aha jeszcze ta kurewska godzina milicyjna i jej wronie⁴ wykwity
kutasy w niebieskich i zielonych mundurach co krok
bezwstydnicy każdy z białą pałą na wierzchu obraza moralności

zasrany element przeorał moje zakwaszone trwanie z paczką
kartkowych papierosów⁵
taki mózg nie ważne czyj mój nie mój obcy codzienny rzadki do
kwadratu do sześcianu
ołać to czy droga jest długa czy krótka granicą jest i tak podbite
oko opatrności

13 XII 2018 – 17 XII 2018

1 Amy Lynn Lee, po mężu Hartzler (*13 XII 1981 w Riverside w Kalifornii), amerykańska wokalistka, autorka tekstów, kompozytorka, producentka muzyczna i multiinstrumentalistka. W 1995 roku wraz z Benem Moodym założyła zespół muzyczny Evanescence.

2 William Kirk Jackson (*16 IX 1901 w Galveston w Teksasie, †13 XII 1981 w Nowym Jorku) – członek Ciała Kierowniczego Świadków Jehowy.

3 *Rorate cœli desuper* (łac.) - spuśćcie rosę niebios.

4 Od WRON, skrótu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

5 W owym czasie przysługiwał przydział kartkowy 12 paczek papierosów na osobę miesięcznie.

POWOŁANIE

Mucha w samobójczej misji tłukła o chropowaty sufit. Było to ostatnie bzyczenie w jej trzydniowym życiu. Komary w spokoju spoglądały na rozjuszoną robacznicę, która starała się pokonać śnieżnobiłą warstwę najdroższej farby położonej najtańszym wałkiem. A ja patrzyłem na nich, bo niczego mądrzejszego nie byłem w stanie zrobić. Pokój był napełniony jeszcze ciepłem chylącego się ku końcowi dnia. Od siedzenia bolał mnie tyłek. Ilekroć wypadał dyżur na krzeselku, ubolewałem strasznie, bo to ani poczytać cokolwiek ani na komórcę w gierkę pograć. Chciałem być policjantem, ale skoro egzamin do szkółki wyglądał jak matura z wuefu, odpuściłem. Zostałem ochroniarzem w najnudniejszym miejscu na Ziemi. Poczekalnica w departamencie miejskim, którego nazwa zmieniała się co kwartał. Prawo i porządek radzą sobie beze mnie. Łatwym i stosunkowo mało absorbującym wydarzeniem w moim życiu było wymiganie się od wojska, na rzecz studiów. Poszedłem jednak o jeden krok za daleko i wymigałem się również od studiów.

Rano patrzyłem przez okno na odjeżdżające kolejno samochody. Sąsiedzi wyjeżdżali do pracy, na zakupy, uciekali przed pijanymi żonami i zazdrosnymi mężami. Opróżniali najpierw pęcherze i jelita, potem mieszkania, parkingi i osiedla. Na większość dnia zabierali swoje pragnienia w inne części miasta. Na mapie termicznej miasta starali się wygrać konkurs na najbardziej zajebiste czerwone miejsce w centrum. Na największe skupisko zajmujących stolki półdupków na metr kwadratowy. Żegnałem ich z cichym pomrukiem radia w tle. Odkąd telewizor się popsuł, a ja przekonałem, że życie bez niego ma również sens, tyle że foniczny, mój dzień trwał w sąsiedztwie siostry Amiki i jej matki Wrozametki. Brat Zelmer dokonał nędznego żywota w pojemniku na elektrośmieci. Choć pewnie powtórnie zaczął, bo pomysłowy Stefuś z drugiej klatki łowił stamtąd wszystko. Mam tylko nadzieję, że nie skończył jako element wyuzdanej seks-zabawki, a elementarnie wyciągał kopyta na złomie w pojemniku z miedzią i aluminium. Przyjdź królestwo twoje i zabierz zwoje moje.

Parking pustoszał, a pozostawione na nim wszystkie sedany i kombi w spokoju się utleniały. Czasem zapewniały schronienie wszelkiemu stworzeniu. Widziałem śpiące osiedlowe koty, psy i sąsiada z bloku naprzeciwko. Obserwowałem dzisiejszą mapę popuszczeń. Tu z chłodnicy, tam z silnika, różnobarwne i wielkoformatowe wycieki udowodniały, że pojazdy są jeszcze w fazie życia. Jak z człowiekiem, na początku pieluchy, potem zasadniczo trzyma i pod koniec podobnie, układy już

nie te i sączy się. Eliminowałem kolejnych sąsiadów. Szukałem tego jednego jedynego samochodu, który plamił obficie, a jego właściciel gwizdał na to zajmując coraz to nowe miejsca na przyblokowym parkingu. Zafundował nam symetryczną mapę tłustych placków. Jak tylko znajdę baterie do aparatu wykonam serię zdjęć z układu aut na stanowiskach i przy pomocy analizy wzrokowej postawię tezę. Znajdę drania.

Kontemplacja wielbionej w legendach wolności jednostki wyrażanej w przespanych popołudniach na kwartał, zakończyła się dość niespodziewanie. Zadzwoił domofon, kiedy ostatnią suchą formą bułki pszennej wycierałem plastikowy kubeczek z aromatycznej śmietanki. Dwóch gości z białymi paskami i naszywką na ramieniu Żandarmeria Wojskowa bez słowa wręczyli mi świstek. To oni jeszcze łowią niewinnych? Jeden z nich, roztaczając wątpliwą woń spalonej naprędcy fajki, zakomunikował: Pójdziesz z nami. W innych okolicznościach odpowiedziałbym: chyba srać pod drzwiami, ale po lekturze darmowych filmów online, znałem dalszy ciąg takiego żartu. Doprawdy nie wiem, w jaki sposób armia przypominała sobie o mnie, skoro ja zdążyłem już dawno o niej zapomnieć! Ni cholery to nie składało się to z moją teorią współzapominania. Punktualnie o dziesiętej pięćdziesiąt cztery dzwoniła zwyczajowo nasza listonosz, pani Janeczka. Tak naprawdę miała na imię Grażyna, ale przejęła rejon od starego listonosza – Janka. W przeciwieństwie do niego wydawała staruszkom zawsze pełną kwotę emerytury i nie domagała się dodatkowych bonusów. Janek słyszał jeszcze z tego, że bez żołądkowej gorzkiej nie ruszał z poczty. Wraz z nadejściem szumnie zwanej dziś demokracji, listonosz Janek dopracował do emerytury na zapleczu sortowni. Tam w spokoju pielęgnował żołądek swój i magazyniera Lutka specyfikami i udzielał złotych rad. Matka pracowała kiedyś na poczcie to mi opowiadała. Pani Janeczka przychodziła czasem do mnie, jak sąsiedzi wyjeżdżali na zarobek zagranicę. Co zbrojne draby zrobiły dziś z Bogu ducha winną kobietą?! Przynosiła przepleciony recepturką pakiet listów do państwa Korzenieckich. Nie chciała, żeby listy piętrzyły się u nich w skrzynce, bo złodzieje widzą więcej niż teściowa w kuchni dzieci. Mnie to wisiało, listów nie trzeba było wyprowadzać ani karmić więc sobie leżały. Czasem odbierali. W ramach podziękowania pani Janeczka opowiadała mi różne historie z osiedla. Podejrzewam, że to właśnie ona chowała przede mną wezwania przekazywane przez wojsko. Pewnie nie chciała oddać mnie na zmarnowanie, bo nie miała by z kim herbaty wypić, a i jak Korzenieccy zapieprzali w pocie

czoła na saksach, to musiałyby kogoś innego znaleźć do przechowywania dla nich pocztę.

Same kłopoty, no ale dzięki temu armia pofatygowała się osobiście. Zasadniczo to nawet mi zaimponowali. Stoimy więc na przeciwko siebie. Oni, lekko śmierdzący wypalonym papierosem i ja podobnie, tylko zwinnie ominiętym prysznicem. Zaczynają się uprzejmości, dowód osobisty, odpytanie z zawartości. Pytam ile raz można się pomylić i czy mam również przeliterować własne nazwisko od tyłu. Proponuje im herbatę, pani Janeczka, jako kobieta samotna odpaliła mi połowę kwartalnego przydziału na herbatę madras. Siadają w kuchni, solidnie posypują aromatyczne granulki z granatowego foliowego woreczka. Celowo podałem im gorący napój w szklankach bez uchwyty, za to na stylowych spodczkach. Cukier i cytryna zapełniły zwyczajowo pusty stół. Potrzebowałem kilkunastu minut, żeby odświeżyć się, żeby armia poznała mnie pachnącego old spicem a odsypianą dzienną zmianą ochroniarza w poliestrze. Podczas kąpieli uświadomiłem sobie, że jutro obudzę się innym człowiekiem. Po jaką cholere myje i układam włosy, skoro wytatowany drab opierdolił mnie ręczną maszynką, do skóry. Jak w filmach, tylko pewnie zostawi na czaszce więcej sznytów. Przed lustrem wpadłem w panikę, nie ma old spice! Kurtuazyjnie pytam, czy nie zechcieliby pójść na dół do drogerii kupić mi dezodorant. Obaj, obrócenii patrzyli na mnie bez słowa, ze szklanek wciąż unosiła się para. Jeszcze nie upili nawet łyka. Oparte na spodkach łyżeczki zdradzały chęć napięcia się herbaty. Może wczoraj na kompanii było pite i dziś suszy. Niby żandarm, a w istocie taki sam przestraszony jak ja człowiek, Polak. Znajduję pod szafką w łazience jakieś resztki archaicznego roll-ona. Na półce z towarem przeznaczonym na randki, konsolacje i wręczenia orderów, stała butelka wody Wars. Będzie old spice po polsku. Wyszedłem z łazienki, przyłapałem ich ze szklankami złapanymi koniuszkami palców i ustami złożonymi w takie dzióbki, co je małolaty robią na zdjęciach. Specjalnie krzyknąłem jeszcze: uwaga, gorąca! Obaj wzdrygnęli się, ale chyba mieli też sprawność snajpera albo sopera, bo nie uronili ani

kropki. Wyszedłem w ręczniku, znalazłem starą sportową torbę. Spakowałem najpotrzebniejszą bieliznę, parę spodni i wizytową bluzę z kapturem. Nie będę wyglądał w tym smutnym przybytku jak łachmaniarz.

Usiadłem z nimi przy stole. Przeprosiłem jeszcze w połowie wypitej herbaty, że nie podałem żadnych ciasteczek, ale naprawdę nie spodziewałem się gości. Chyba trochę wyluzowali, zapytali czy mogą zapalić. Siedzieliśmy, piliśmy herbatę, paliliśmy. Prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Byliśmy jak trzech kumpli, którzy spotykają się, kiedy jednego z nich opuszcza szczęście w życiu albo miłości. Siorbiemy w różnych tonacjach herbatę, czekamy niekończący się kwadrans, żeby wstawić szklanki do zlewu i wyjść. Wsiąść pewnie do jakiegoś wypastowanego przepalonym olejem i smołą gazika i wyjechać wylotówką w kierunku JW, numeru jeszcze nie znam.

W czasie, kiedy jeden z nich znacząco uderzył obiema rękami w kolana mówiąc: No to poszli, zrobiło mi się naprawdę gorąco. Pragnąłem z całego serca, żeby teraz Janeczka weszła z gazem, pałką, karabinem na pociski dum-dum i zmiotła ich z powierzchni ziemi. Rozpuścilibyśmy ich ługiem, jak na filmach i znów parzyli madras i patrzyli przez okno. Wyszli przed blok, zatrzymałem się, żeby jeszcze raz spojrzeć do skrzynki na listy. Patrzyłem na nich. Stali przed maską zielonego busa, znów palili, chyba nawet ze sobą nie rozmawiali. Wyglądali jak profesjonaliści, absolutnie pewni, że ich ofiara opuści dotychczasowe miejsce pobytu i usiądzie na tylnym siedzeniu auta. Nie było ratunku, litości, wyrok zapadł. Zostanę generałem, bombardierem albo agentem wywiadu. Ostatecznie była to jakaś przygoda. Mam tylko nadzieję, że nie podpieprzą mi krzesła w departamencie spraw różnych.

Usłyszałem wizg, łamiący się metal, plastik i pewnie kości. Stefanek pędził jednym z tych niejeżdżonych aut z parkingu. Może ktoś wcisnął je do kontenera na elektrośmieci. Samochód nie miał, podobnie jak Stefanek, hamulców. Nie wyszedłem z klatki, podniosłem torbę i poszedłem na górę nastawić wodę na herbatę.

LALKA

Obudził ją przeraźliwy krzyk. Przez chwilę nie wiedziała kim ani gdzie jest. Dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że jest w domu, we własnym łóżku. I to ona krzyczała. Czowała suchość i ból w gardle od długiego i głośnego wrzasku. Była cała złana potem; koszula nocna oblepiała jej ciało jak lateksowy kostium. Podkurczyła nogi, oparła o nie łokcie i ukryła twarz w dłoniach. Zdała sobie sprawę, że na jej twarzy był nie tylko pot. Zasychające łzy wyłobityły dwie ścieżki przez jej policzki. Spróbowała uspokoić oddech i przypomnieć sobie swój sen.

Nie było to trudne. Choć Gośka bardzo chciała, żeby było inaczej. Od kilku tygodni co noc dręczył ją ten sam sen. Śniły jej się oczy. Duże, błękitno-szare. W każdej innej sytuacji uznałyby je za piękne. Ale te były inne. Dziwne. Wręcz przerażające. Nie potrafiła nazwać ich wyrazu. Jedynie, co jej przychodziło do głowy, to... puste. Pozbawione emocji, jak oczy lalki. Ale wiedziała, że należą do żywego człowieka. Miała wrażenie, że gdzieś je już widziała.

Ale najgorsze było to, co zaczynało dzieć się po chwili. Jedynie, co zmieniło się w tych oczach, to źrenice. Zaczynały powoli się rozszerzać, stopniowo pochłaniając tęczówkę. A ona czuła, jak ta czern i nicość coraz bardziej ją wciąga. Wie, że nie ma dokąd uciec. I słyszy nagle przeraźliwy krzyk. Za każdym razem zdaje sobie sprawę, że to ona krzyczy. Nie rozumiała tego snu, ale chyba wiedziała, skąd się wziął.

Od śmierci swojej starszej siostry, Doroty, nie przespała ani jednej nocy. A właściwie od jej morderstwa. Dwa tygodnie temu została znaleziona martwa we własnym mieszkaniu. Z poderżniętym gardłem. Znalazła ją Marta, jej przyjaciółka, z którą była umówiona tego dnia i nie przyszła. Jako jedyna miała zapasowe klucze do mieszkania Doroty (paranoja; nawet rodzonej siostrze ich nie dała). Sprawcy nie odnaleziono. Policja twierdziła, że idealnie zatarł za sobą ślady. I niczego nie zabrał. To było najdziwniejsze. Od tamtego momentu Gośka widziała w snach te okropne, puste oczy. Chyba potrzebowała psychiatry.

Nagle usłyszała otwieranie zamka w drzwiach wejściowych i czyjeś kroki. Zamarła przerażona. Dochodziły ją odgłosy torby stawianej na podłodze, odwieszanej kurtki i kluczy kładzionych na komodzie. Wypuściła przytrzymywane powietrze z ulgą. To był Darek, jej chłopak. Zapomniała, że dzisiaj wracał ze szkolenia w Poznaniu. Przez chwilę myślała,

że to morderca.

Słyszała, jak stara się cicho chodzić po mieszkaniu. Poszedł najpierw do kuchni. Pewnie jest głodny. Po chwili łazienka. Odgłos prysznicca nie trwał długo. Darek zawsze mył się w ekspresowym tempie. Potem woda w umywalce. Mył zęby. Wreszcie skierował się do sypialni. Aż podskoczył, kiedy zobaczył ją siedzącą na łóżku.

- Jezu, Gośka! Ale mnie przestraszyłeś – powiedział.

- Przepraszam – wymamrotała.

- Nie możesz spać? Znowu te koszmary?

Nic nie odpowiedziała. Tylko ukryła twarz w dłoniach. Usiadł przy niej na łóżku i otoczył ramionami. Wtuliła się w niego, szukając pocieszenia. Poczwała zapach jego żelu pod prysznic. To niesamowite, jak takie drobne rzeczy potrafią uspokoić. Nie odzywali się już więcej. Nie było potrzeby. On był jej wsparciem, którego tak bardzo potrzebowała. Nie musiała mu nic tłumaczyć. Niedługo potem zasnęła w jego ramionach. Tej nocy już nie miała żadnych snów.

*

Znowu ten zapach. Kobiece perfumy. Obce. Nie jej. Trzymała w rękach koszulę Darka i próbowała uchwycić słabą woń obcych perfum. Może tylko jej się wydawało? Przynęła materiał do twarzy. Nie, nie ma mowy o pomyłce. Czowała świeży, cytrusowy, delikatny zapach. Na pewno nie jej. Ani jego matki. Ona lubiła mocne i ciężkie. Jak ona sama. Skąd więc tam się wziął?

Może któraś jego klientka takich używała? Darek był w końcu przedstawicielem handlowym w firmie kosmetycznej. Miał do czynienia praktycznie wyłącznie z kobietami. Ale chyba żadnej z nich nie obejmował, prawda? Zapach był wyczuwalny tylko na kołnierzyku. Nie chciała poddawać się oczywistym myślom nasuwającym się w tej chwili. Dlatego wrzuciła koszulę razem z innymi rzeczami do pralki i nastawiła pranie.

„To na pewno nic nie znaczy”, pomyślała.

*

Spóźnia się. Kolejny raz. Co prawda, dzwonił, żeby ją uprzedzić. Ale to nie zmienia faktu, że ponownie odkładają ich wspólną kolację, bo Darek musi zostać dłużej w pracy. Rozumiała to. Oczywiście, że rozumiała. Ale nie mogła pozbyć się tego ukłucia żalu w sercu i cichej rezygnacji.



rys. Zuzanna Aleksiejczyk

Znowu ktoś lub coś jest ważniejsze. I znowu to ona musi być tą wyrozumiałą, wybaczącą wszystko. Tak było z jej siostrą, dla której musiała poświęcić swoje marzenia o weterynarii, bo matkę stać było tylko na studia jednej z nich. Przecież Dorota zawsze była ta ładniejsza i mądrzejsza. No i starsza. To jasne, że to ona dostała szansę na wyrwanie się z ich małego miasteczka. I to ona była ulubienicą mamy. Najmniej z ich dwóch przypominała ojca, który je zostawił. Po jej śmierci niewiele się zmieniło. Dla matki Dorota zawsze będzie numerem jeden.

Teraz musi rozumieć każdy późny powrót Darka z pracy i coraz częstsze wyjazdy służbowe. Nie robi mu pretensji, bo to przecież „dla ich wspólnego dobra”. Tylko jak na razie, nie potrafi tego dostrzec. Bo po raz kolejny jest sama w pustym mieszkaniu. Ciekawe, jakimi perfumami będzie teraz pachnieć koszula Darka?

*

Za oknem szalała burza. Błyskawice co chwila przecinały nocne niebo, wspomagane ponurymi grzmotami. Patrzyła na Darka ze zdziwieniem w oczach. Zawsze miał dość dziwne zwyczaje, ale żeby leżeć na podłodze? Leżał na brzuchu z jedną ręką skuloną pod sobą, drugą wyciągniętą przed siebie. Jakby po coś sięgał. I chyba rzeczywiście tak było. Wytężyła wzrok i przy jego dłoni zobaczyła mały prostokątny kartonik. Zdjęcie.

Nagle zrobiło się na chwilę jasno. Błyskawica znowu rozświetliła niebo. Na zdjęciu był Darek z jakąś obcą kobietą. Przytulali się. Już pamięta. Znalazła je dzisiaj w porannej poczcie. Koperta nie miała nadawcy, nawet zaklejona nie była. Poczula ból i rozczarowanie, bo jej przypuszczenia jednak się sprawdziły. Kiedy on wrócił z pracy, zapytała go o to. Nie próbował nawet się tłumaczyć, ani wykręcać. Przyznał się do romansu. Jakby nie miało to specjalnego znaczenia. Pokłócili się. Ostro. To znaczy, ona krzyczała, a on próbował ją uspokoić. A potem... no właśnie, co było potem?

Spojrzała ponownie na Darka. Nic nie pamięta. Zauważyła, że wokół jego ciała tworzy się na dywanie jakaś plama. Szybko się powiększała. Kolejna błyskawica pozwoliła jej zrozumieć, co to. Krew? Ale skąd? Przecież jeszcze przed chwilą rozmawiali i Darkowi nic nie było... Nie to jednak było najdziwniejsze. Zdała sobie sprawę, że nic nie czuje. Dosłownie nic. Wcześniej, podczas kłótni, targały nią różne emocje. Złość, rozżalenie, strach, ból. A teraz? Była spokojna, opanowana. Nawet nie zamierzała zbliżyć się do ciała swojego byłego, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy.

Powoli odwróciła się i poszła w kierunku łazienki. Czowała się bardzo zmęczona. Nie miała ochoty dłużej rozpamiętywać kłótni z Darkiem, ani tego, że po raz kolejny ktoś ją zawiódł. Dostyc tego. Nikomu już na to nie pozwoli. Już nigdy nikt jej nie skrzywdzi, nie zepchnie na drugi plan. Od teraz liczy się tylko ona. Weszła do łazienki, zapaliła przy wejściu światło. Podeszła do umywalki. Dopiero teraz spojrzała na swoje ręce. W jednej z nich trzymała długi nóż. Musiała go zabrać z kuchni. Był cały pokryty krwią. Tak jak jej dłonie. To nie była jej krew. Spojrzała przed siebie. Zobaczyła kobietę. Obcą. Zniknęło płochliwe, przestraszone i wiecznie przepraszające spojrzenie szarej myszki. Patrzyła na nią osoba pewna siebie i opanowana. Taka, która wie, czego chce. I te oczy. Duże, błękitno-szare. Puste. Pozbawione emocji, jak oczy lalki. Gdzieś je już widziała...

Danuta
Wegen

Piesek

mam w środku
pieska
nakarmiony
napojony
wykapany
to czego kurwa
wyje

21.08.2015 r.

Karolina
Szymańska

Dziś nastał maskarady czas
Fałsz swój i pragnienia
Opakujmy w ładną formę
Przywdziejmy maskę
Wytwornie tłoczoną
To karnawał szaleństwa
Celebracja ordynarności
Misterium prastare
W oparze kadzideł
W orgii szale
Wydobywa się
Zwierzęcy okrzyk
To rodzi się człowiek nowy
Spojony z naturą
Prawda odwieczna
Odbita w rytuale

Ewelina
Zdancewicz-Pękala

Adriannie N., zmarłej tragicznie w wieku 11 lat

Dział dziecięcy

Ciągnie się od kutej bramy aż do końca ścieżki
kilkanaście równych rzędów
gdzieniegdzie połamane krzyże
tym dzieciom
nikt nie zdążył zrobić zdjęcia

Zaczyna się od jednodniowej Ani
„dołączyła do grona aniołów”
zaraz po niej Tomasz, Adam i Marylka
u nich „Bóg tak chciał”
mają tylko rok urodzenia

Za to Marysia miała więcej szczęścia
bo żyła od stycznia do marca
a roczny Witek do końca lipca
tutaj
to prawie rekordzista

Najdalej jest nastoletnia Adrianna
„przez Boga powołana”
twarz wpasowana w skrzydła
plastikowe anioły w foliowych torebkach

Może gdyby zerwać je z tej płyty
zdążyłyby odlecieć?

Zbigniew
Martuszewski

o piwie

zamiast opiewać zalety tego płynu
wołałem
przystąpić do czynu

dramat

Ona (patetycznie)- Widzę że Pan wzdycha,
znowu będzie kicha
On (dyplomatycznie)- No cóż..... To ja idę już.
(oddala się jednakowoż szybko i stanowczo w
bliżej nie ustalone miejsce)
Ona - No to jest już kurwa dramat.
(również wychodzi tyle, że bardziej stanow-
czo ale w inne miejsce)

Arkadiusz
Szordykowski

Ten sam – a jakże różny

Wkraczasz w niezwykły świat ,
na zalesiony, brunatnozielony trakt
Przyciemniana zasłona przymuła wzrok
Wzmacniasz słuch, uspakajasz krok,
wyężdżając żrenicową moc przezwycięszasz mrok
Przenikające słoneczne promienie
jak bezmyślne chybotliwe świecy śnieniu,
ukwiecone purpurowym cieniem

Dostosowując zmysły postrzegasz więcej

Pstrokaty dzięcioł popękaną kore kuje ,
wylizankę kornikową wystukuje
Puchacz rozbudzony, wzburzony pohukuje
z zwinną kuną gryzonie wylapuje
W iglastym runie mrowie wędruje,
solidne mrowisko mozolnie buduje
Ćma szaroskrzydła komara w jedwabną nić zagania,
przyczajony pajak rosistą kroplę pochłania
Czyż nie piękny świat?

Przyśpieszasz krok,
wychodzisz w jasny krąg
Oczy dłońmi przysłaniasz,
inny świat się wylania!

Wielobarwne motyle chabry, maki okraszają,
biedronki krwistokropiaste rosę rozbijają
Ważka tęcoskrzydła muskając do drgania taflę kałuży
przymusza,
czapla siwa jaskrawozielonymi zaroślami porusza
Chrabąszcze z błyszczącymi żukami harce wyczy-
niają,
pasiaste trutnie z wiatrem tańce odprawiają
Słowik arią cuda krainy wychwala,
sroka z kawką podwójną tęczę smugą
scala;
tunel się wylania!
Pszczoła kłosie rozrywa,
trzmiel brzęczeniem ziarno ozłaca ,
świerszcz między muzykujące cykady
zaprasza
Zbożowy szum na rozległe wzniesie-
nia przyzywa,
serce ciepły dreszcz przeszywa
Czyż nie piękny świat?
Choć tak różny - a jednak ten sam!



rys. Anna Miller

Wydarzyło się tej jesieni

Nazywam się Adam Chochoł. Nazwisko trochę weselno-wyspiańskie, ale przecież nie jestem tu, by śmiać się z własnego nazwiska. Miałem psa Fokusa i dziewczynę Hanię. Zastanawiacie się pewnie czy jestem starcem czy chłopakiem? Tak się składa, że jestem duchem. Nienawidziłem spontanicznych wyjść i drżałem na samą myśl o nieplanowanych wyjazdach z miasta. Pracowałem w księgarni. Czasem dopadało mnie upierdliwe przekonanie, że życie toczy się gdzie indziej. Potem wyobrażałem sobie swoje samopoczucie podczas szalonego, nieplanowanego wyjazdu w góry i natychmiast doceniałem przewidywalność swojego żywota i to, że w góry się bynajmniej nie wybieram. Chociaż na nasze premiery ludzie nie ustawiali się w kolejkach jak przed sklepem Kanye'go Westa po jego nowe buty, poznałem ludzi dla których czytanie było najważniejszym punktem dnia. Zasiadali oni do książki jak alkoholicy do flaszki, z trzęsącymi się rękami, nabożną czią, pełni wyrzutów sumienia. Wiedziałem, że to też uzależnienie, ale chyba z dwojga złego lepiej pożerać książki niż pić denaturat. Bywały dni, że to wydawało mi się nieco monotonne. Teraz dużo bym dał, żeby to życie dostać z powrotem. Zostałem zamordowany 24 października 2018 roku. Łupem złodzieja, który mnie zabił padły: 1,5-letni smartfon, 4 złote i 56 groszy, które miałem łącznie różnych kieszeniach, trzy psie ciastka. Fokus na swoje szczęście przytomnie uciekł z miejsca zdarzenia.

Wyszedłem na dwór. Broniąc się przed zacinającym deszczem, naciągnąłem kaptur. Wiatr wył wściekle. Skręciliśmy w uliczkę domków jednorodzinnych, która była pusta o tej porze. Jak zawsze zatrzymałem się przy domu pod numerem 10. Wielkie krzaki w ogrodzie sugerowały, że mieszka tam ktoś samotny, kto nie ma już siły używać sekatora. Czasem puszczałyśmy z Hanią wodze fantazji i prawie kłóciliśmy się o to, co byśmy wycieli, a co zostawili, gdyby domek był nasz. Bluszczy i dzikie wino rozpierały się na budynku aż po dach. Hania uważała, że to piękne i wzruszające, a ja uważałem za objaw zwykłego zaniedbania. W środku paliło się światło. Widziałem kawałek ciężkiej, drewnianej szafy, była otwarta. Fokus akurat sikał na rozpadające się, metalowe ogrodzenie. W pokoju, który mógł być salonem, wisiała zerwana do połowy, brudna zasłona z zielonego aksamitu. Nagle w oknie pojawił się stary mężczyzna. Patrzył wprost na mnie, a od tego spojrzenia zjeżyły

mi się na ciele wszystkie włosy. Nie widział. Świadczyły o tym oczy w których nie było widać tęczy – mętne i bez wyrazu. Zacząłem szybko iść w stronę domu besztając się w myślach za podglądactwo, które zostało ukarane. Przypomniałem sobie, że mieszkał tam samotnie mężczyzna, który stracił wzrok w pożarze, wiele lat temu. Po kilkuset metrach uspokoiłem nieco oddech. Przy sklepie pomyślałem, że coś mi się wydało, a to był ktoś inny. Uspokajałem się w myślach. Pod blokiem machałem rażno workiem z cebulą i śmiałem się w myślach sam z siebie. Koło nas stał wóz policyjny na sygnale. Powitała mnie rozgorączkowana Hania.

- Wiesz co tu się stało, gdy was nie było?! Ten stary facet z Kasprzaka wlał prosto pod rozpedzony samochód. Kojarzysz, ten co mieszkał w domu jak z horroru. Podobno wszedł, bo nie widział, a chciał przejść. Zginął na miejscu. Straszny niefort, bo tu przecież prawie nic nie jeździ. Już go zabrali. A kierowca uciekł... - Hania mówiła dalej odpinając liżącego ją psa, ale ja nie słuchałem. Podejrzanie, że widziałem coś, co nie powinno istnieć, trochę mnie osłabiło. Wyciągnąłem butelkę piwa i otworzyłem. Hania wróciła do notatek, Fokus poszedł za nią. Wypiłem piwo na cztery łyki. Wykąpałem się. Gdy traciłem świadomość, widziałem puste źrenice. Tej nocy nie spałem dobrze. Rano Hani już nie było. Szedłem do pracy dopiero na południe, więc miałem sporo czasu, żeby pochodzić z psem. Do kieszeni wcisnąłem drobniaki, miałem też ciastka dla psa. Wybiegliśmy. Udałem się w stronę zacisznego lasu, który znajdował się jakiś kwadrans drogi od naszego bloku. Lubilem go. Nie było tam wścibskich sąsiadek, dzieci ani starowinek poruszających się dwa na godzinę, głuchych i idących całym chodnikiem. W lesie było pusto. Wcisnąłem słuchawki w uszy. Pobiegnę dalek. Zatrzymałam się gdy zachwyił mnie krajobraz. Było bajeczne, a liście spadały z drzew, jakby ktoś nimi sypał. Nagle pies zaczął wściekle ujadać. Wtedy dostałem cios w głowę. Odpląnąłem. O umieraniu napisano wiele strasznych rzeczy. To wcale tak nie jest. Dobrze zorganizowane umieranie jest bezbolesne i nawet trochę przyjemne. Ja na przykład dostałem w głowę kamieniem, przez co straciłem przytomność. A potem kilka ciosów nożem. To miło ze strony napastnika, że najpierw mnie uderzył. Gdyby w stanie przytomności przyszło mi się wykrwawiać, to mogłoby być nieciekawe przeżycie. Podejrzewam, że ten, kto mnie zabił zakładał, że będę

miał przy sobie więcej pieniędzy, ale cóż... nie można mieć wszystkiego, prawda? Tak jak wspomniałem na początku, łupem mordercy padły rzeczy za które nie powinno się umierać. W sumie gdyby pomachano mi przed twarzą nożem, oddałabym je bez szemrania. Ale ten ktoś wolał przyłożyć mi w łeb kamieniem. Ocknąłem się tak, jakbym wynurzył się z wody. Gwałtownie złapałem oddech. Przez chwilę myślałem, że nic mi nie jest.

Potem zobaczyłem, że stoję obok siebie. Głowa była zniekształcona, a brzuch



i uda miałem we krwi. Otwarte oczy patrzyły w pustkę przed siebie, a nogi leżały w nienaturalnej pozycji. Nachyliłem się nad swoim ciałem i spróbowałem zamknąć sobie oczy, bo drażnił mnie ich widok. Nie czułem smutku. Nie czułem złości. W ogóle niczego nie czułem. Moja dłoń przenikła przez ciało, nie dotykając go. Widocznie te dwa światy nie chciały mieć ze sobą niczego wspólnego.

- Nieprawda. Skup się – powiedziała dziewczyna, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Miała na sobie bluzę z polaru i szare włosy. Była boso. Odruchowo spojrziałem na swoje stopy. Na szczęście były na nich buty. Postaci było więcej. Wyglądały zza drzew, patrzyły z oddali. Kobiety, mężczyźni, psy, koty, konie, świnie. W różnym wieku: szczeniaki, źrebaki, dzieci, starcy, młodzi dorośli ale wszyscy dostojni i świetliści. Byłem nowy, może dlatego wzbudzałem ich nieufność. Skoncentrowałem się i jeszcze raz spróbowałem dotknąć swojej twarzy. Skóra była zimna. Znak, że pewnie leżę tu jakiś czas. Przymknąłem sobie powieki. Wtedy pomyślałem o Hani. Pewnie będzie jej trudno, przynajmniej na początku.

- Przystań się roztkliwiać, nie ma na to czasu. Dopóki twoje ciało istnieje fizycznie, możesz więcej. Na przykład możesz wspierać swoją dziewczynę w trudnych chwilach – zjawa wywróciła ironicznie oczami. – Możesz też ukarać tego, kto to ci zrobił. Bo możesz dotykać różnych rzeczy. Potem już nie będziesz mógł.

- A ty ukarałaś?

- Nie dałam rady, bo morderca rozpuścił mnie w kwasie – dziewczyna wzruszyła ramionami. – A bardzo żałuję, że nie mogłam go dopaść. No cóż, jego szczęście. Czasem tylko go straszę we śnie. Tylko tyle mogę.

- A jak mam się dowiedzieć, kto mnie zabił?

- Widać, że jesteś tu nowy – zaśmiała się pokazując górne zęby. – Skup się. To ciao! – powiedziała znikając. Razem z nią rozplynęli się w powietrzu gapie. Zacząłem chodzić wokół swojego ciała. Z oddali nadeszła kobieta z dzieckiem. Dziewczynka miała wielki plecak i pewnie wracała ze szkoły. Na tej podstawie oszacowałem, że mogła być nawet 14 po południu. Kobieta krzyknęła i zastoniła dziewczynce oczy. Wtedy szarpnęło mnie do tyłu i zakreśliło mi się w głowie. Zobaczyłem siebie robiącego zdjęcia. Ktoś trzykrotnie (!) uderza mnie kamieniem w głowę. Potem dźga nożem. Wyciąga z mojej kieszeni drobniaki i telefon. Focus ucieka. Powróciłem do lasu, ale mojego ciała już tam nie było. Jeszcze raz spróbowałem zobaczyć, kto mnie zabił. Widziałem znów siebie robiącego zdjęcia i kogoś uderzającego mnie w głowę. Ręka trzymająca kamień była chuda i miała pomalowane paznokcie. Kobieta? Zanim powróciłem do lasu, udało mi się dojrzeć długie, czarne włosy. I twarz. Podkrążone oczy, chude i zmęczone oblicze. Zniszczona używkami. Odrosty. Wokół stali wyrostkowie. Pewnie się przed nimi chciała popisać.

- Mam was, dupki – ucieszyłem się.

Hania nie odbierała telefonów i nie życzyła sobie żadnych odwiedzin. Chciała przeżyć to sama. Gdy znalazła Fokusa ciągnącego za sobą smycz, wiedziała, że wydarzyło się coś złego. Siedziała otumaniona w pokoju. Nie płakała. Palila papierosy, a wokół wały się opakowania środków uspokajających. Patrzyłem na to i kompletnie nie wiedziałem co zrobić. Fokus na zmianę ujadł i cieszył się, że jestem.

Szukał, bo nie pachniałem sobą. On, w przeciwieństwie do Hani, widział mnie doskonale. Nie miałem pojęcia, jak mogłem ją wspierać, skoro nie była świadoma mojej obecności. Wróciłem do lasu i zrezygnowany usiadłem w liściach. Była na nich nadal moja krew. Wtedy znowu poczułem jakby ktoś mną szarpnął. W momencie, w którym dziewczyna uderzała moją głowę, z jej prawego serdecznego palca, oderwał się sztuczny paznokieć i spadł na ziemię. Zobaczyłem też, że całą scenę obserwował z oddali starszy mężczyzna. W momencie, w którym zobaczył, że sytuacja jest niebezpieczna, poszedł w drugą stronę. Czerwony tips leżał w liściach klonu. Podniosłem go i schowałem do kieszeni. Spokojniejszy udałem się na najbliższą komendę policji. Poruszałem się jak we śnie. Jeśli pomyślałem o jakimś miejscu, potrafiłem zaraz się tam znaleźć. Teleportacja? Zawsze myślałem że to fantazja. Przez chwilę zapomniałem, że policjanci nie będą mnie widzieli. Zrezygnowany usiadłem na jednym z krzesłek i tępo wpatrywałem się w funkcjonariusza, który miał nocny dyżur. Wtedy zobaczyłem, że nie siedzę sam. Obok, na krześle pojawił się niewidomy mężczyzna z Kasprzaka. Nie zwracał sobie głowy wstęпами. Miał jakieś 80 lat i mętne oczy. Zapalił papierosa.

- Kiedy twój pies sikał na mój płot, próbowałem jakoś ci powiedzieć, żebyś nie szedł do tego przekłętego lasu.

- No, chyba jednak nie rozumiałem – skrzywiłem się – A w ogóle dlaczego cię, to znaczy pana, widziałem? I dlaczego jest pan niewidomy? – poprawiłem się mając na uwadze to, że był ode mnie starszy.

- Żebyś głupio pytał – dmuchnął mi dymem w twarz.

Bezczelny skurwiel. Chciałem wstać. Mężczyzna gestem nakazał mi żebym siedział.

- Widziałeś mnie, bo ludzie przed śmiercią czasem nas widzą. A jestem ślepy, bo wyglądamy tak jak przed zgonem. A ja już wtedy nie widziałem. Aha. Bym zapomniał. Napisz do Hani list i zostaw jej ten przekłety paznokieć. Niech idzie na policję. I odejdz, nie dręcz jej.

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz. Nasz upływ czasu i jego odczuwanie jest inne. Zobacz jak szybko minęły ci dwa dni. Nie jemy, nie wypróżniamy się, cofamy się w czasie, przemieszczamy się w różne miejsca. Niech ona żyje normalnie. Nie łaż za nią, nie odwiedzaj jej we śnie – pogroził mi sękatym paluchem - Pomyśl jak będzie ci przykro, jak się z kimś zwiąże. Teraz to może się wydawać abstrakcyjne zarówno dla ciebie, jak i dla niej. W końcu pogodzi się z utratą ciebie. A jak wszyscy umrzecie, zostanieie duchami. Ten przekłety pies też. Tylko nie masz pewności, że dla niej nadal będziesz tak istotny jak dziś.

Policjant niespokojnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Poczul dym. Wróciłem do Hani. Spała. Sięgnąłem po kartkę i zacząłem pisać.

„Ten paznokieć został znaleziony na miejscu zbrodni. Ułamał się dziewczynie, która mnie zabiła. Rozpoznam ją, jeśli będzie trzeba. Tylko musisz mnie słuchać, nie buntować się, choć to głupie i niezgodne z rozumem. Moje morderstwo widział Antoni Barański. Mieszka w bloku numer 3, mieszkania 78.

Ja istnieję. Przez jakiś czas będę obok, potem odejdę. Ty mnie nie widzisz, ale Fokus tak. Za jakiś czas wszyscy się spotkamy.”

Adam

Południowe nuty, południowa krew

Spójrzcie na mapę USA. Łącząc między sobą (patrząc od północy) miejscowości Spartanburg (South Carolina), Macon (Georgia) i Jacksonville (Floryda) uzyskamy mniej lub bardziej zgrabny, w zależności od naszej staranności, trójkąt. Ameryki, nomen omen, tu nie odkrywam – trzy połączone punkty na mapie zawsze dadzą jakiś trójkąt, chyba że leżą na jednej linii. Co takiego szczególnego jest w tym opisanym powyżej? Może jak w osławionym Trójkącie Bermudzkim dzieją się tam jakieś tajemnicze zjawiska? Może to jakieś zagłębie turystycznych atrakcji? Może...? Nie, nic z tych rzeczy. Zerkam na mapę. Nawet większych miast tam właściwie nie ma. Wydaje się, że nic tam nie ma. Istne „middle of the nowhere”... Trochę to symboliczne dla zjawiska o którym chcę napisać. Dla fenomenu southern rocka. Stylu który powstał „nigdzie”, stworzony przez „nikogo”. Muzyki, która czerpała pełnymi garściami z modnych brytyjskich wzorców, by przefiltrowana przez łby rednecków i dźwięki z ich świata, błyskawicznie uzyskać swoistość, jakość i szczerłość o jakiej nie może nawet marzyć większość europejskich gwiazd. Rzućmy jeszcze raz okiem na wierzchołki hipotetycznego trójkąta. Patrząc od północy:

Spartanburg (South Carolina) – rodzime miasto the Marshall Tucker Band
 Macon (Georgia) – maciecznik the Allman Brothers Band
 Jacksonville (Floryda) – tu narodzili się Lynyrd Skynyrd

Trzy zespoły, trzy legendy, trzy kamienie milowe southern rocka. Dla mnie, najważniejsze grupy południowej sceny. Muzycznie kompletnie różne, a jednak kilka dźwięków wystarczy, by ucho bezbłędnie zareagowało: „to właśnie southern rock!”.

Marshall Tucker Band. Kiedy bracia Caldwell wynajęli na próby jakiś magazyn, dostali klucz z breloczkiem, na którym był odręczny napis „Marshall Tucker” (nazwisko poprzedniego najemcy). Popatrzeli po sobie, no i tak już zostało - „Marshall Tucker Band”. Losy zespołu jakoś tak dziwnie znajome dla każdego, kto grał lub słuchał rocka nad Wisłą w latach 80. ubiegłego wieku. Chłopaki zaczęli grać, upomniało się o nich wojsko... To były czasy wojny w Wietnamie. Nie wiem, jak na to zareagowali – migali się, czy z południową dumą i prostotą poszli w kamasze. Gitarzysta i lider Toy Caldwell był ranny w Wietnamie. Na szczęście wrócił, przeżył... Skrzyknęli się znowu. Wydali debiutancką płytę (pokryta się złotem) i wpadli w znany i u nas kołowrotek – grali 300 koncertów rocznie! Dobrych koncertów. „Pojawili się na scenie i rozwalili wszystkich” – opowiadał Charlie Daniels, multiinstrumentalista i autorytet południowej sceny. Nagrali z jego pomocą drugą płytę „A New Life”, także złotą, jak się wkrótce okazało.

Zacznijmy od okładki, właściwie okładek dwóch pierwszych płyt zespołu. Widok z jakiejś góry, szeroka panorama. Słońce zachodzi nad horyzontem. Gdzieś w oddali kowboj zmierza w tylko sobie znanym kierunku. Na „A New Life” widzimy go z bliska. Dotarł do celu. Z wysokiego urwiska patrzy na chałupę poniżej, nie zsiadł z konia, gra na skrzypcach. Chmury układają się w fantasmagoryczne wzory – po niebie płyną zwierzęta, jadą kowboje, pluskają ryby... Zaraz, zaraz – coś tu nie gra! To na pewno płyta nagrana przez twardych cow boys z południa? Czy to się nie gryzie?

Nie gryzie się. Marshall Tucker Band to zespół stuprocentowych romantyków. Oparta na countrowych fundamentach muzyka unosi w powietrzu. Można się poczuć jak chmura z okładki... Do tego często słychać saksofon, skrzypce i... flet. Flet?! Nie ma w tym jednak lukru, bo kowboje owszem, wrzuszają się, ale nie płaczą. Pazura wszystkiemu dodaje wirtuozowska gitara lidera – Toy Caldwell. Tu i ówdzie mówią – jedna z najlepszych gitar południa. Gdybym nie słyszał tej muzyki, czytając taki opis jak ten, wybuchnąłbym perlismym śmiechem – southern rock z flectą? Toż to absurd! Złamanie zasad! Kicz! Nic z tych rzeczy. To fantastyczna muzyka. Po prostu – parafrazując tytuł filmu – „i kowboje mogą marzyć”.

Opuszczamy Spartanburg, ryk motocyklowych silników wabi nas do Macon, Georgia. Allman Brothers Band. Oj mieli chłopaki pecha do jednoślądów... Dwie katastrofy, rok po roku, praktycznie w tym samym miejscu. Gitarzysta i basista. Dwa pogrzeby. I to w momencie kluczowym – kiedy właśnie usłyszał ich muzyczny świat i otworzył usta ze zdumienia. Bo też to, co proponowali było niezwykle. Już sam skład – dwie gitary, dwie perkusje. Gęste faktury, misternie plecione brzmienia. To zespół do słuchania na żywo albo z płyt koncertowych. Wirtuozzi improwizacji. Nikt się nie popisuje, uważnie słuchają siebie nawzajem, dyskutują, dopełniają, czasem kłócą... Gitarowe solówki rozwijają się, jakby rosły w czasie grania, aż następuje kumulacja i paleczkę przejmuje kolejny muzyk. Od strony formalnej to właściwie jazz. Southern jazz?!

Zespół przetrwał nieszczęścia o których pisałem na wstępie. Przyszły w końcu lata chude, ale później fenomenalne odrodzenie z nowym gitarzystą i basistą: Warrenem Haynesem i Allenem Woody. Zastąpienie mówi się o Allman Brothers Band „Królowie Południa”. Królowie, bo o bogach będzie za chwilę... Jest jeszcze coś, na co chciałbym zwrócić uwagę. Południe, to w obiegowej opinii, kraj prymitywnych rednecków i rasistów. A właściwie rednecków-rasistów. Nie chcę tu wybielać południa, segregacja rasowa to przecież fakt. Ale na tym rasistowskim południu w Allman Brothers Band od 1969 roku, na jednej z perkusji grał jak najbardziej czarnoskóry Jai Johanny „Jaimoe” Johanson. Na równych prawach. Nie eksponowany na siłę ale też nie wstydliwie ukrywany. Może stereotypy nie są więc do końca prawdziwe? Może prawda nie jest, przepraszam, czarno-biała? Może.

„My nie gramy southern rocka” – to Duane Allman w jednym z wywiadów. „My gramy bluesa. Southern to Lynyrd Skynyrd...”.

Jacksonville. Jak przejść do historii muzyki? Można być na przykład zniechęconym przez dzieciaki nauczycielem. Jeżeli ma się tyle szczęścia co pan Leonard Skinner i wybitnie utalentowanych uczniów jest gwarancja – podopieczni wyrują nasze nazwisko w spiżu. No, może trochę zniekształcone – Lynyrd Skynyrd. Bogowie southern rocka.

Lynyrd Skynyrd to archetyp. Wzorec metra. Kształtując swoją muzykę zdefiniowali cały styl. Niczym w greckiej tragedii charakteryzuje ich pełna harmonia muzyki, przekazu i historii bandu. Historii, też zresztą mającej w sobie wiele z tragedii.

Właściwie ich wszystkie wczesne płyty są doskonałe. Jak dla mnie – bez słabych punktów. Muzyczna gitarowa uczta po prostu. A przekaz o którym wspominałem wyżej? Proszę bardzo: „Free Bird” – nieutulona tęsknota za wolnością. „Simple Man” – pochwała prostego, godnego życia. „Sweet Home Alabama” – дума z bycia „tu i teraz” z bycia południowcem, nawet jeżeli „południowość” budzi śmiech i politowanie w miastach wschodniego i zachodniego wybrzeża. „God and Guns” („to Bóg i spluwy dają mi moc!”) – można się zżymać na taki tekst ale to jest szczerze. Szczerze i bardzo południowe. Niegrzeczni chłopcy? W młodości lubili rozrabiać, to prawda. A jednocześnie potrafili popęlić taki tekst, kiedy kolega zaczął za bardzo zadzierać nosa (to z piosenki „That Smell”) „Butla whiskey, nowa bryka... Spierdalajcie stąd! Za dużo koki, za dużo skrętów... Ty śmierdzisz. Naprawdę nie czujesz, że śmierdzisz?”. Prosto z mostu, bez owijania w bawełnę, bez krygowania się. Taki jest mój ukochany southern. Szczerzy i bezpośredni. Może czasem naiwny, ale zawsze prawdziwy.

Spójrzcie jeszcze raz na mapę z wykreślonym trójkątem. Marshall Tucker, Allmani, Lynyrd Skynyrd... „Marzyciele”, „Jazzmani”, „Klasycy”? Południowe dźwięki niejednym skrzą się odcieniem. Zaraz, zaraz? Tekst się rozrósł strasznie a przecież ledwie liznęliśmy temat? A gdzie Alabama, Texas (ZZ Top, Point Blank), Arkansas (Black Oak Arkansas!!), Louisiana (PotLiquor!!)? Tyle wspaniałej muzyki. Tyle zespołów. Tyle barw. Oj chyba przyjdzie mi jeszcze przynajmniej jeden trójkąt wykreślić na mapie...

KRONIKA WYDARZEŃ

- 1. (16. 01.19) Museum Selfie Day w Muzeum Warmii i Mazur.**
 - a) sweet focia, dzióbek, z rąsi. Pstryk, klik i na fejsika
 - b) czarno-białe, na kliszy, wywoływane w ciemni. Magia fotografii analogowej
- 2. (17.01.19) Trzydzieści lat przypału: Narkopolityka i narkopolacy - Galeria Dobro.**
 - a) # drug # kryształ # faza # kwas # lolek
- 3. (01.02.19) Oficjalne otwarcie odcinka obwodnicy Olsztyn Wschód - Olsztyn Jaroty.**
 - a) „Jadą wozy kolorowe taborami, jadą wozy kolorowe wieczorami...”
 - b) Żeby ktoś mógł swobodnie jechać, zablokowany ktoś będzie - przydrożni mieszkańcy zostali odcięci
- 4. (20-21.02.19) Dni Języka Ojczystego na UWM.**
 - a) „Śpiewać każdy może...” Pisać, jak potrafi
 - b) „Bezczeszczenie cietrzewia cieszy moje czcze trzewia...”
- 5. (22-26.02.19) Plan zdjęciowy do filmu pt. „Jak najdalej stąd” w reżyserii Piotra Domalewskiego.**
 - a) kraksa L-ki na ul. Mickiewicza w otoczeniu statystów
 - b) Targ Rybny – Pub Carpenter w irlandzkim ujęciu
- 6. (23-24.02.19) Teatr Nowy: SzeF szefów - Sala pod Amfiteatrem.**
 - a) podwładny: podnózek, pupil, goniec # dzielny, odważny, hard worker
 - b) „Krzysztof Jarzyna ze Szczecina. SzeF wszystkich szefów”
- 7. (27.02.19) Warsztaty podróżnicze z Jakubem Poradą w Planecie 11.**
 - a) podróż za jeden grosz
 - b) pakuj plecak i gitarę, ruszaj w siną dal
- 8. (09.03.19) Futbol amerykański w Galerii Warmińskiej. Prezentacja zespołu Wenglorz AZS UWM Olsztyn.**
 - a) szarża barczystych mężczyzn z udziałem jajowatej piłki
 - b) zagrzewając do walki: deee feeenceee

Papierowa





fot. Bożena Chrostowska

Karol Fryta – proza
Bożena Chrostowska – poezja
Dariusz Górkiewicz – publicystyka, tłumaczenie z hiszpańskiego
Marta Parafińczuk – publicystyka
Szymon Żyliński – multimedia
Mariusz Sieniewicz – el padrino
Marta Flakowicz-Szczyrba – opieka instytucjonalna
ITEM – przygotowanie do druku

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych materiałach

Zapraszamy do nadsyłania swoich prac i pomysłów na adres redakcji: papierowka@mok.olsztyn.pl

Znajdź nas na Facebooku:
<https://www.facebook.com/papierowkazine/>